WYPOŻYCZANIE PISMA U SPRZEDAWCY JEST NADUŻYCIEM

PRAKTYCZNA PANI

Nr. 3 [34]

DOBRA OBYWATELKA

TYGODNIK ILUSTROWANY

30 GROSZY

rok II

22 SIERPIEŃ 36

Suknia z trykotu wełnianego. Photo Yva.



NUMER TEN ZAWIERA 24 STRON TEKSTU Z RYCINAMI I KOLOROWEMI MODELAMI SUKIEN ORAZ OSOBNY ARKUSZ Z TABLICĄ KROJÓW I WZORAMI ROBÓT

TREŚĆ:

1 Prenumerata miesięczna 1 złoty

SZÓSTEGO SIERPNIA 1914 R.

--- PIETNASTEGO SIERPNIA 1920 R.

Szóstego sierpnia 1914 r. — piętnastego sierpnia 1920 r.

Te dwia daty znaczą pierwszy okres istnienia Niepodległej Polski.

Gdy dnia 6 sierpnia 1914 r. pierwsza Kompanja Kadrowa Legjonów wkraczaał w granice królestwa kongresowego, — na forum międzynarodowe padło imię Polski. Wzięliśmy swój udział w wojnie światowej, nie jako widz, lecz jako uzbrojony i umundurowany żołnierz.

Stworzenie tego gestu, tego pierwszego od lat pięćdziesięciu, zbrojnego czynu nie było rzeczą łatwą. Kraj był śmiertelnie znużony niewolą, zmęczenie to zaczynało już pokrywać całunem apatji całe niemal społeczeństwo. Jeden tylko człowiek wyczuł idący przez świat prąd, który przynieść mógł wolność. To wyczucie możliwości przejęła wnet od Józefa Piłsudskiego garść młodzieży. I tak zrodził się dzień 6 sierpnia, który był niczem innem jak jednem więcej ogniwem w łańcuchu lat i faktów.

1831-1848-1863-1905 — każde z tych lat — to zerwanie się narodu do walki.

Legjony w 1914 r. były same. Wbrew opinji Europy, wbrew własnemu społeczeństwu. Genjalne wyczucie Józefa Piłsudskiego nie opóźniło się ani pospieszyło choćby o dzień z rzuceniem na szalę wojny europejskiej imienia Polski.

„Zadużo już upadku i nazbyt z nim zwojsko, i zbyt nikczemna losu pogania nas kolej.
Duszno mi w tem nieszczęściu i dość mam niewoli.
Róbcie co chcecie — ja zaś będę robił wojsko".

Wierzyński „Manewry strzeleckie".

„Nowa, bijąca się Polska" wymaszerowała z Oleandrów do Kielc.

A w sześć lat potem, z dalekiej Rosji iść poczęła ku Polsce czerwona fala. Krwią zalala cały carski świat i w poszukiwaniu nowych dróg wyzwolenia dla rosyjskiej duszy, zeszła na manowce nienawiści i zbrodni.

15 sierpnia 1914 roku.

Europa? pomoc sprzymierzonych państw? nie liczy na to Piłsudski. Własnemi siłami!

Nie poszły na marne nauki wieków.

Pada decyzja śmiała, szaleńcza, genialna.

Cud nad Wisłą. Chwila, która partyjnej Polsce kazała zapomnieć o wszystkich małych sprawach, poczuć wagę ogólnej odpowiedzialności.

„Wszyscy jesteśmy równi wobec ofiar, jakie ponieść macie!
Wszyscy jesteście żołnierzami!"

(Piłsudski, rozkaz z 1914 r.)

Szesnaście lat dzieli nas od walk i zwycięstwa pod Warszawą. Corocznie czcimy rocznicę 15 sierpnia 1920 roku, jako święto zbiorowego wysiłku narodu i zwycięstwa chrześcijańskiej idei — nad czerwonym wschodem.

Dzień ten poświęcono również żołnierzowi. Dobrze i słusznie się stało. W historji naszego kraju zbyt często się powtarzala tragiczna samotność żołnierza.

Niepodległa Polska — defilady, rewje, powroty z manewrów. Obojętny tłum widzów patrzy na maszerujące oddziały. Nie porywa ich sprężysty krok piechoty, ani dudniący rytm artylerji. Czasem tam jeszcze szwoleżerowie zbiorą garść oklasków, bo to i lance i chorągiewki i galop świetnie dobranych koni.

A już gdzieś na boku zawodowi pesymiści obliczają skrzętnie, ile to kosztuje, utrzymanie pułku, a broń, a amunicja, a mundury. I że to nie jest potrzebne, i że mogą być za to szkoły i prace dla bezrobotnych.

Czasem są to tylko pesymiści, czasem — dużo gorzej.

Tak, to prawda — wojsko kosztuje kraj bardzo dużo.

To prawda, — pochłania olbrzymie wprost, w stosunku do możliwości pieniężnych państwa, sumy roczne.

Ale — tu poprostu niema nad czem dyskutować. To bowiem być musi. Musi być dobrze ubrany, nakarmiony i nowocześnie uzbrojony żołnierz. Bo to jest gwarancja pokoju i gwarancja nienaruszalności granic.

Śmiało wyprowadzić można wniosek, że olbrzymie sumy pochłaniane przez wojsko idą, konsekwencją faktów, na utrwalenie pokoju europejskiego i światowego. — A nie zapominajmy i o tem, że nad ubraniem i uzbrojeniem żołnierza pracują polskie fabryki, zatrudniające dla tego właśnie, tysiące robotników.

Że, dzięki niezmordowanej propagandzie gen. Żeligowskiego, wprowadzony bezapelacyjnie do wojska len polski, sprowadza tysiące złotych, wsiąkających powoli, ale stale w najbiedniejsze połacie kresów wileńskich.

Daj Boże, aby „Święto wojska" 15 sierpnia 1936 roku zacieśniło jaknajmocniej węzły braterstwa i miłości żołnierza z krajem. To przecież powinno być naszą chlubą i dumą, ta jedna z najlepszych w Europie—polska armja.

Od legjonisty z 1914 roku, z Werndlem w garści i staremi, śmiesznemi armatkami, dającemi dużo więcej huku i dymu, niż efektu właściwego — do tankietek i czołgów, do służby łączności — nowej, zmotoryzowanej armji, 22 lata pracy i wysiłku Nowej Polski.

A wszystko własnemi siłami.

E. K.



Kościół w Starych Trokach. Na pierwszym planie fosa.



Ogólny widok rynku w dzień odpustu.



Kapliczka św. Józefa koło kościoła w Starych Trokach.

Rzemiennym duszlem na odpust na Wileńszczyźnie

Na odpust w podwileńskich starych Trokach jedziemy prawdziwym „rzemiennym dyszlem": chłopski wóz drabiniasty z siedzeniem, pokrytem kilimem, zaprzężony w poczciwego, małego konika wiezie nas wolnym truchcikiem przez pola. Wiejska droga, pełna krzywizn i wybojów, prowadzi między niewielkiemi wzgórzami, — tu lasek, wrzosowisko, tam wodna struga, a wszędzie — przed nami, za nami, ze wszystkich stron pola i pola, pokryte kopami żyta. Skończone już żniwa — niedługo będziemy jeść świeży chleb. Dla podziękowania za pomyślnie zebrany plon, dla uproszenia błogosławieństwa śpieszą wszyscy na odpust, mimo, że dzień to powszedni, a z nieba leje się na spracowanych ludzi lipcowy żar słoneczny. Jakże jednak w dniu Matki Boskiej Szkaplerznej nie być w trockim kościele?

Stare Troki... Miłem echem odbija się ta nazwa w sercu każdego Wilnianina, Nie są to coprawda te rozreklamowane na całą Polskę Troki Nowe, ośrodek sportów wodnych i cel licznych wycieczek turystycznych, ale i Stare Troki Wilnianom są drogie. Jest to już dzisiaj wieś tylko, niepamiętająca nawet dawnych czasów swej chwały, gdy jeszcze przed Jagiełłą i Witoldem, gdzieś w XII i XIII stuleciu mieli tu swą siedzibę litewscy książęta.

Dziś nad tą najstarszą chyba na Wileńszczyźnie wioską góruje tylko kościół, świadek dawnych czasów, i do tego kościoła w dniu 16 lipca śpieszą pobożni wieśniacy tutejsi na doroczny odpust Matki Boskiej Szkaplerznej.

Wolno wiezie nas konik wąską wiejską drogą. Coraz to przemyka obok nas skromna chłopska „bryczuszka" albo podobny naszemu wóz drabiniasty, coraz to mijamy grupki pieszych, idących w kierunku wsi z butami w ręku (włożą bowiem obuwie dopiero przed kościołem). Tutaj, koło Starych Trok, o 30 kilometrów od Wilna, o kilka od Trok Nowych, można się już zorjentować, jak ubiera się wieś wileńska. Wiejskie kobiety na głowach mają białe chusteczki, noszą najczęściej długie ciemne spódnice i jasne bluzki do bioder, na ramionach ciężkie kwadratowe chusty wełniane. Strój ten nie obowiązuje już młodych dziewcząt, dla których moda miejska, jasne palto i jedwabik na suknię, stanowią nieprzepartą pokusę. Chłop-gospodarz nosi długie buty, ciemne spodnie, rzadko marynarkę, częściej „ruską rubaszkę" zapinaną pod szyję, na górę nawet w lecie kożuch. Niema więc w tym tłumie barw żywych, oryginalności ubioru, tak jak nie słyszy się głośnych dowcipów, przyśpiewek, ogólnej rozmowy, chłop wileński jest cichy i małomówny, ale dobry i spokojny, pobożny i pracowity.

Przez szeroko zabudowaną, zamożną wieś zbliżamy się wreszcie do biało-czerwonego trockiego kościoła, górującego swem położeniem nad całą okolicą. Stary to i piękny kościół, otoczony głęboką fosą, w której niema już oczywiście wody, zabezpieczony murem, z dwiema kapliczkami po bokach. W środku nie jest bogaty, jak wszystkie kresowe kościoły, nie rozbrzmiewa uczonym śpiewem, ale dobrze tu się modlić... A gdy po sumie uroczystej dokoła kościoła ruszy tłumnie procesja, chylą się pokornie przed niesionym przez ks. proboszcza Sakramentem, nawet kościelne drzewa i wszelki ruch i gwar na placu zamiera.

Przed kościołem bowiem, na placu, odbywa się odpustowy jarmark. Rzędem stoją chłopskie bryczki i wozy, pod bramą kościelną zawodzi pieśń pobożną ślepy dziadek, a niżej — stragany i budki, całe bogactwo jarmarkowe! Kupić tu można przedewszystkiem dewocjonalja: obrazki święte, różańce, książeczki, medaliki, szkaplerze, a dalej wszelkie jarmarczne artykuły. Zachęca więc nas właściciel budki z lodami do spożycia swego malinowego specjału, inny sprzedawca głośnem wołaniem zjednywa klijentów swej „amerykańskiej" loterji, na której każdy bilet wygrywa.

Dziewczęta się tłoczą koło straganu z lusterkami, grzebykami i wstążkami, dzieci kupują pierniki. Niemałe powodzenie ma też piwo i słynne „smorgońskie" obwarzanki. Centralnym punktem zainteresowania mło-



W drodze na odpust.



„Proszę serca kupować, piernikowe serca!"

dzieży obojga płci jest stragan z piernikowemi sercami o bajecznie oryginalnych barwach, z wymownemi napisami: „Nie zapomnij o mnie", „Kocham cię", „Perełko moja", „Jania", „Kazimierz" i t. d. Zakochany chłopiec musi kupić na jarmarku swej bogdance takie piernikowe serce z odpowiednim emblematem. Cena tych miłosnych pośredników nie jest wysoka: od 5 gr do 2.50 gr. Proszę tylko wybierać i kupować! Prócz piernikowych serc można też kupić i jadalne konie, muchomory, ryby, koguty i t. p. Nic więc dziwnego, że słodki stragan ma ogromne powodzenie!

Gdy już wytłumaczymy zainteresowanej osobie uczucie swoje odpowiedniem „sercem", możeby się jeszcze na jarmarku sfotografować? Oto oczekuje amatorów dekoracja, wyobrażająca samolot z napisem: „Troki — Wilno — Paryż". Między temi trzema stolicami kursuje bajeczny samolot, na tle którego każdy może uwiecznić swoją podobiznę za 25 groszy.

Obejdziemy raz jeszcze cały jarmark, posłuchamy muzyki na harmonji, przyjrzymy się flirtowi trzech żołnierzy z K.O.P. z miejscowemi pięknościami, i — musimy już wracać. Ale wracać z zadowoleniem po odniesieniu miłych wrażeń i po poznaniu części uroczej wileńskiej ziemi.

Jane.

ŚCIERNISKA

Zniknęły z pól złociste łany,
jesiennych zmierzchów chwila bliska.
Cichnie skowronka głos kochany,
mgły opadają na ścierniska...

Choć ranek słońcem roześmiany,
żal nieuchwytny serce ściska...
Zniknęły z pól złociste łany,
mgły opadają na ścierniska...

Al. Kwiecińska.

FRAGMENT

Zaszumiał wicher nad polami —
ślizga się łanem, czai miedzą.
Kłosy trącają się główkami,
lecz co im stało się — nie wiedzą.

Zaszumiał wicher nad polami,
przypadł do drzewa przydrożnego.
Poczęło trwożnie trząść listkami,
nie widząc kiedy i dlaczego...

Tak ludzkie serce drży czasami,
nieokreślonym lękiem zdjęte,
gdy, jak ten wicher nad polami,
targnie niem czucie niepojęte...

Al. Kwiecińska.

NA WZGÓRZU

U kresu jednej z wąskich, polnych ścieżyn,
którą w poranki rozzłocone chodzę,
wyrasta wzgórze. Ostre kolce jeżyn
bronią go, ludziom nieżyczliwe srodze.

Jestem tu sama z mojemi myślami.
Ptaszęcą pieśnią szczęście w duszy gra mi,
nieopisany czar chłonę przestrzeni!

Mimo to, muszę w jego urok wierzyć.
Stojąc na szczycie, skroń znużoną chłodzę
pieszczotą wiatru. Tam w dole świat leży,
świat ludzi w smutku żyjących i w trwodze.

Siła i spokój spływa na mnie z ciszy.
Mówię do Boga i wiem, że mnie słyszy,
śląc miłość w blasku słonecznych promieni...

Al. Kwiecińska.

W POCIĄGU

Na peronie dworca Wileńskiego jeszcze prawie pusto. Wagony nieoświetlone wyglądają jakby drzemały przed daleką podróżą Warszawa — Zemgale, po sapaniu lokomotywy ucho wprawnego podróżnego łatwo może poznać, że dopiero szykuje się do drogi; rzadkie lampy skąpo oświetlają hal stacyjny i peron, podróżni jednak już zaczynają się zbierać.

Do wagonu III klasy podeszła stara, otyła żydówka obarczona najrozmaitszemi tobołami i z trudem zaczęła gramolić się na schodki.

— Niech pani poczeka, podam walizki, będzie pani wygodniej — zabrzmiał za nią głos.

Żydówka obejrzała się, za jej plecami stała młoda osóbka w szarym płaszczu i błękitnym berecie. Życzliwy uśmiech, zniewalający serca, zmusił ostrożną córę Izraela także do uśmiechu i ufnej skargi:

— Uj panienko! — to tak ciężko.

— No to pomogę — jazda!

Wyjęła z rąk żydówki koszyk i postawiła w otwartych drzwiach wagonu, tak samo postąpiła z ciężką walizą i wypchaną teką, żydówka odciążona wlazła na schodki, sapiąc ciężko. W drzwiach odwróciła się:

— Nu — teraz ja panience pomogę?

— Dziękuję, już jestem. — Rzeczywiście Halina stała już w drzwiach, przez rękę z walizką miała przerzucony pled, w drugiej trzymała parasol i śmiała się wesoło.

— Już jestem — powtórzyła.

— A gdzie pani rzeczy? — zaniepokoiła się żydówka.

— Rzeczy? — tutaj! — Halina pokazała walizkę.

— Tak mało? — pani pewno blisko jedzie?

— Dla serca blisko, dla nóg daleko — żartowała Halka, naśladując zabawnie żydowski akcent.

— No ruszajmy! — gdzie pani chce rozlokować się? — Czy będziemy stać tu w przejściu?

Żydówka chwyciła tobołki i pozostawiając Halinie walizę, mówiła szybko:

— Uj, panienko! — ja mam prośbę — my pojedziemy razem — dobrze? Panience tak dobrze patrzy z oczu, a teraz w pociągach różne szmondaki jeżdżą. Kobiecie samej niebezpiecznie, niech panienka siądzie razem, dobrze? Ja tak daleko jadę — siądzie ze mną panienka?

— Dobrze, dobrze! — dźwięczał silny, młody głos Haliny w korytarzu, szukały oświetlonego lub wolnego przedziału, bo nie były już pierwsze. Otwierając drzwi zastawały dwie, trzy osoby, przeważnie mężczyzn ulokowanych wygodnie do dłuższej podróży. Żydówka cofała się niechętnie. Halina bawiła się doskonale jej zalterowaną miną, więc szły coraz dalej. Wreszcie przy końcu pociągu dostrzegły przedział prawie pusty, oświetlony dość jasno latarnią z peronu. Wtulony w kąt przy oknie siedział samotny mężczyzna w płaszczu z grubego jesiennego materjału, głowę odchyloną w tył oparł o ścianę ruchem bezgranicznego znużenia, kształtne palce oświetlone najwyraźniej splątały się mocno na kolanach — gestem cierpienia.

Halka pierwej wyczuła niż spostrzegła tragizm postaci podróżnego i zupełnie bezwiednie, wbrew poczuciu delikatności, gdy żydówka i z tego przedziału chciała się cofnąć, popchnęła ją lekko do środka mówiąc:

— Usiądziemy tutaj! — aż sama się zdziwiła, bo wbrew łomotowi serca, które przyspieszonem biciem już od lat uprzedzało o zbliżającej się nadzwyczajności, głos brzmiał wesoło i beztrosko; nie czuć było wcale, że przez mgnienie oka stanęło przed jej oczyma ludzkie nieszczęście. Coś silniejszego od niej zaczęło kierować jej postępkami i głosem. Pomogła żydówce w umieszczeniu manatków i gdy ta usadowiła się, zwróciła się do nieznajomego wyzywająco:

— Przepraszam, czy daleko pan jedzie?

— Daleko! — głos mężczyzny brzmiał obco, niechętnie, jakby oganiał się od dokuczliwości ludzkiej. Halina jednak nie ustępowała.

— Chciałabym wiedzieć jak daleko?

— Co to kogo może obchodzić? — odparł niegrzecznie zagadnięty głosem, w którym czuć było wzbierające rozdrażnienie.

— Obchodzi mnie bardzo!

Na taką bezczelność mężczyzna otworzył przymknięte dotychczas oczy.

Twarzy Haliny nie mógł dojrzeć, gdyż oślepiał go blask lampy, oświetlającej jego kąt wyraźniej, niż resztę przedziału, zamajaczyła mu tylko szczupła sylwetka pytającej.

— A czy wolno wiedzieć, dlaczego to panią tak bardzo interesuje, dokąd jadę?

Halina roześmiała się wesoło i odparła rezolutnie:

— Jestem straszna egoistka i wygodnicka, lubię siedzieć twarzą w stronę biegu pociągu, no i przy oknie, ponieważ pan zajmuje moje miejsce, chcę wiedzieć kto z nas jedzie dalej, a tem samem — komu z nas przysługują do tego miejsca większe prawa.

— No, wie pani, że to już przechodzi granicę! Trzeba było przyjść wcześniej i zająć to miejsce, napewno nie kwestjonowałbym pani praw.

— Wierzę! — ale to jeszcze nie mówi mi wcale dokąd pan jedzie.

— Czy kobiety w trzeciej klasie zawsze są tak bezczelne? — a więc dobrze — sięgnął do kieszeni płaszcza i rzucając okiem na wyjęty bilet dodał triumfalnie — jadę napewno dalej od pani, bo do Grodna. Okno moje!

— Tylko do Grodna? — w takim razie proszę się przesunąć bliżej drzwi, jadę do Święcian i chcę odrazu wygodnie ulokować się, — sądzę, że będzie pan tak grzecznym i ustąpi?

— Pani z Wileńszczyzny?

— Prawie tak.

— Rozumiem teraz pani obcesowość i bezgraniczny upór.

— Bo?...

— Bo tylko Litwini są tak uparci i gruboskórni.

— Dużo ich pan znał?

— Wystarczająco, żeby się przekonać o słuszności tego twierdzenia.

— A królewiaków co cechuje?

— Kurtuazja względem pięknych kobiet, ale teraz jest ciemno i nie mogę przyjrzeć się pani!

— Czy mam stojąc czekać aż zapalą lampy? wolę już poinformować sama: — jestem kandydatką na miss Europę.

— Doprawdy? — niechce mi się wierzyć, ale cóż z panią robić, zastrzegam tylko, że jak zapalą lampy, będę pani przyglądał się tak samo bezczelnie, jak mnie pani wyrzuciła z miejsca.

— Ależ i owszem! — nie jestem tatarką, więc wzrok mężczyzn nie krępuje mnie wcale. — Śmiejąc się, rozkładała pled na opróżnionem miejscu.

— Taka pani pewna siebie?

— Najzupełniej! — jestem tak brzydka, że żaden mężczyzna dłużej niż sekundę nie może na mnie patrzeć; — drwiła już w żywe oczy, sadowiąc się wygodnie z nogami na ławce i przykrywając je płaszczem.

— To bezczelność!

— Co? — że brzydka, gruboskórna, uparta litwinka wyrzuciła pana z zajętego miejsca?

— Chociażby...

— Nie trzeba było ustępować!

— Niestety, od dzieciństwa uczono mnie grzeczności dla kobiet.

— Wychowaliśmy się więc gdzieś niedaleko od siebie, bo i mnie zawsze mówiono, że mężczyźni muszą ustępować kobietom.

— Widocznie w myśl przysłowia: — ustąp głupiemu, sto dni odpustu...

— Najjaśniejszy dowód, że lepiej w życiu mają głupi niż mądrzy.

— O tak! — przekonałem się o tem niejednokrotnie — odparł podróżny z goryczą i jakby złe jakieś wspomnienie uderzyło w niego powrotną falą, owinął się w zawieszony płaszcz, skulił w kącie i przymknął oczy. Zdawało się, że cały świat przestał dla niego istnieć.

Halina oparta wygodnie przyglądała się towarzyszowi; był bardzo blady o niezdrowej zielonkawej cerze, na skroniach i nad czołem przeświecała siwizna, koło ust dwie bruzdy świadczyły wyraźnie o ciężkiem zmaganiu się z życiem i znowu niewiedzieć dlaczego, jak przy pierwszem spojrzeniu przy wejściu do przedziału stanęło Halinie w oczach *n i e s z c z ę ś c i e*. Nie wiedziała co grozi człowiekowi, który siedzi na drugim końcu ławki, lecz czuła wyraźnie, że poprostu sądzonem jej było, stanąć dzisiaj na jego drodze.

Tak często w życiu kierowała się impulsem i dobrze na tem wychodziła, więc i teraz starała się wczuć we własne serce, jakby ono swojem biciem miało jej podszepnąć postępowanie z nieznajomym. Trzeba go ratować... sprecyzowała nagle i niespodziewanie dla siebie samej i swojej myśli — i otworzyła oczy. W tej chwili oświetlono wagony, i wzrok jej spotkał się z oczyma podróżnego, patrzył na nią, jakby nie widząc, jakby zapatrzony poza nią w coś, co tylko jego wzrokowi było dostępne, a w źrenicach taiła się rozpacz.

Przymknęła powieki. — Co mu jest? — czego jemu braknie? — co z nim się dzieje? — zadawała sobie pytania nie znajdując na nie odpowiedzi.

Na peronie wszczął się ruch, pasażerowie zaglądali przez szybę drzwi i szli dalej, przechodzili korytarzem kolejarze z zapalonemi latarkami, przed pociągiem stały grupki odprowadzających, rozlegał się nosowy głos gazeciarzy i migała czerwona czapka kierownika ruchu.

— Odjazd! — podniosła się czerwono biała tarcza. Lokomotywa zaczerpnęła powietrza i odetchnęła głęboko, koła potoczyły się wolno nabierając rozpędu. Z okna widać było fantastyczne sznury korali, zawieszone nad Wisłą. Niby paciorki z rozdartego naszyjnika rozsypały się światła, znacząc w cieniach nocy Wielką Warszawę. Korale mieniły się gamą barw, przesuwały się i nikły coraz częściej, pociąg przyspieszał biegu.

Drzemiąca dotychczas żydówka ocknęła się nagle i rozpakowując kolejno każdy tobołek, wybrała chałę, gotowane jaja, wędzonego śledzia i zaczęła zajadać. Halina spojrzała na towarzysza i oczy jej rozszerzyły się z przerażenia. Mężczyzna patrzył na jedzącą z taką męką, a zarazem z taką zwierzęcą nienawiścią, że zdawało się, za chwilę rozszarpie nic złego nie przeczuwającą żydówkę i odbierze jej wszystko.

Jego wzrok był odpowiedzią na męczące Halinę pytanie — ten człowiek był poprostu najzwyczajniej w świecie głodny. Spojrzała uważniej, ta zielonkawa cera, zapadłe oczy i spieczone usta... jakże dotychczas nie domyśliła się tego? — strofowała samą siebie. W walizce miała tyle „wyżerki", że wystarczyłoby napewno na kilku głodomorów, ale jak tu zaproponować takiemu? — Z poprzedniej rozmowy można było wnioskować, że nie należy do potulnych, za zwykłe ofiarowanie pożywienia może ją poprostu zwymyślać i nagrubijanić, ale o to już mniejsza, byleby swoją propozycją nie urazić człowieka, bądź co bądź napewno inteligentnego, a znajdującego się dzisiaj w tak tragicznej sytuacji, że zazdrościł żydówce jej chały i wędzonego śledzia. Podróżny nagle zbladł i zachwiał się — więc Halina odważnie, niby niechcąc dotknęła jego kolana końcem pantofelka. Nieznajomy spojrzał na nią, z pod rzęs widząc jego wzrok, udała że się budzi.

— Co to? dotrzymuje pan słowa i patrzy na mnie? — uprzedzałam, że nic ciekawego. — Czy daleko jesteśmy?

— Dopiero pierwsza stacja — mruknął zapytany.

— Dopiero? a ja tak zgłodniałam, ach! — udała, że dopiero teraz spostrzega jedzącą żydówkę — to pewno pod wpływem tego śledzia tak mi się apetyt zaostrzył. Napiłabym się z chęcią herbaty, a mam termos zajęty mlekiem, co z nim zrobić? Wylać, grzech dar Boży marnować, a wypić? — sama nie wypiję tyle, może pan jako wychowany w zasadach kurtuazji dla kobiet, ulży mojej trosce i dopomoże?

— Dziękuję, nie lubię mleka!

— Czułam to przez skórę, ale powtarzam, że nie wyleję za okno, a chce mi się herbaty, czyżby pan aż tak niemożliwie był niegrzecznym, że niechciałby mi oddać tej małej przysługi? — Ja chcę herbaty — skarżyła się tonem kapryśnego dziecka.

Podróżny miękł — nalane gorące mleko pachniało smakowicie, bułka kusiła swoją prawdopodobnie chrupiącą skórką, a twarzyczka podającej była tak życzliwie uśmiechnięta, że nie opamiętał się, kiedy przyjął z jej rąk filiżankę. Po bułkach przyszły skibki chleba z masłem, wędliną, serem, przekładane jajami, pieczenią, smarowane powidłami, znikało wszystko z nieprawdopodobną szybkością, a Halina podając wciąż nowe porcje, obserwowała z uśmiechem lekkie rumieńce, wywołane na twarzy nieznajomego, już nie tylko zakłopotaniem, lecz i ciepłem wypitego mleka.

— Objadłem panią do cna — wyrzekł przełykając ostatni kęs.

— Och nie! wystarczy napewno jeszcze dla nas obojga do Grodna, wzięłam sporo zapasów z domu, a w Warszawie babka jeszcze mi dopakowała, bojąc się, że umrę z głodu w ciągu jednej nocy.

— To pani nie do domu jedzie?

— Ależ naturalnie do domu!

— Teraz już nic nie rozumiem...

— Dlaczego?

— Jedzie pani z domu. W Warszawie była pani u troskliwej babki, to też jak w domu, teraz też jedzie do domu, ileż tych domów na litość boską ma pani?

— Ile mam domów?... Wie pan nie zastanawiałam się nad tem, proszę zaczekać, zaraz policzę — śmiała się Halina przygotowując się do liczenia na palcach.

— Ciekawym?

— Pierwszy, to ten najprawdziwszy, gdzie Matka — to pogranicze Litwy; drugi to swój, gdzie praca, to drugie pogranicze nad polskiem morzem; trzeci i czwarty, gdzie uczyłam się i mogę wrócić w każdej chwili — to Wilno i Kraków; piąty, gdzie mnie wszyscy kochają i do mnie tęsknią — to Warszawa.

— Za chwilę poznam geografję całej Polski.

— Otóż nie, bo w Poznaniu mam tylko zwierzchników i koleżanki, a we Lwowie naprzykład niemam nikogo.

— Tak, to rzeczywiście zastanawiające.

— I smutne... prawda?

— Nadzwyczaj! — podróżny już śmiał się kącikami ust, troska spłoszona uciekła gdzieś w głąb źrenic, które patrzyły teraz badawczo na Halinę, jakby pytając: ktoś ty, zacz?... a ona uśmiechając się obierała pomarańczę i dzieląc ją na cząstki mówiła.

— Jako oszczędna Litwinka nie jestem zwolenniczką południowych owoców, ale jadąc z Gdyni trzeba pochwalić się z korzyści posiadania własnego portu, nietylko tam przed swoimi, ale i teraz przed panem, więc podzielmy się — dobrze? — podawała apetyczne cząstki owocu.

Nie spuszczał z niej wzroku. Coprawda do kandydatury na „miss Europę" daleko jej było, miała jednak nietylko urok młodzieńczości, lecz i dziwnej pewności siebie, która poprostu zniewalała do podporządkowania się jej zachceniom.

Zerknął na ręce, były białe, niespracowane, bez żadnych ozdób, tylko na lewej złocił się wężyk starej zniszczonej obrączki, ciekawym jednak nie mówiła ona nic. Podróżniczka nie była już pensjonarką to pewnik, ale też niemożno było po niej domyśleć się jakie zajmowała stanowisko. Jedno widział wyraźnie, była żywa i inteligentna i... wiedziała o tem wyzyskując umiejętnie swoje atuty. I teraz spostrzegłszy wzrok pasażera uśmiechnęła się szelmowsko.

— Podobam się panu? — rzuciła niespodziewane pytanie.

Mężczyzna zmieszał się, nieznacznie wzruszył ramionami i uniósł brwi.

— Właściwie to tylko zastanawiam się kim pani jest?...

— Podróżniczką z trzeciej klasy — podkreśliła złośliwie ostatnie wyrazy.

— Dotknęło to panią?

— Właściwie tak bardzo nic, gdyż niemogę sobie siebie wyobrazić podróżującą inną klasą niż trzecia.

— A ja muszę przyznać się, że nie podróżowałem nigdy trzecią klasą, więc nie wiem, jaka kategorja kobiet nią jeździ.

— Musi pan być teraz zadowolony, mając przed oczyma dwa najciekawsze okazy.

Rzucił okiem na żydówkę, piersi jej zlewały się z brzuchem tworząc niesamowitą górę tłuszczu pod pluszowym płaszczem, na którym splotła czerwone, spracowane ręce. Nogi rozstawione szeroko w opadających „w kiełbaski" pończochach i odpiętych pantoflach nie sięgały podłogi. Kołnierz futrzany przekręcił się i tworzył podstawę dla opadającej dolnej szczęki, głowa chwiała się, a z nosa wyrywał się zachęcający poświst. Mężczyzna skrzywił się niechętnie.

— To też z Wilna? — spytał, nie starając się ukryć ironji.

— Nieznam, bardzo możliwe! — odpowiedziała spokojnie, niezwracając uwagi na ton jego pytania.

— Myślałem — weszły panie razem...

— Owszem, pomogłam jej wnieść pakunki, taka była niemi obarczona — uśmiechnęła się na wspomnienie gramolącej się żydówki.

— Tak? — zupełnie jej nie znając? — zdziwił się mężczyzna.

— Nie miałam czasu zaprezentować się — śmiała się Halina.

— Dlatego to żydowstwo i panoszy się tak u nas, że wy tam pozwalacie im na wszystko.

Oczy Haliny błysnęły.

— Hallo! — wolniej! — do kogo pan mówi wy?....

Lecz podróżny nie ustępował:

Do was tam w Wilnie i wszędzie, do was kobiet, co kupujecie żydowski towar i pomagacie przy wsiadaniu obarczonym żydówkom, do was pań, co słuchacie żydowskich muzyków, a pozwalacie zdychać z głodu swojej bezrobotnej inteligencji, do was kobiet o litościwych sercach użalających się nad skrwawionym nosem żydziaka, a nie dbających o całe zastępy polskich uczni, co bez śniadania idą do szkoły! Roztkliwiacie się nad starą żydowicą, a jej synowie robią, sztuczne plajty swoich firm, żeby chrześcijański personel na bruku zostawić! Was to nic nie obchodzi! Same z radością pozajmowałyście stanowiska należne nam mężczyznom; wy swoją tańszą pracą stworzyłyście niezdrową konkurencję, wy wydzieracie byt tylu rodzinom, nie zważając już wcale na to, że przy takim stanie rzeczy wasze własne siostrzyce cierpią! Ale was — kobiety polki — słynne z patriotyzmu, to nie obchodzi, że pogłębiacie kryzys, bylebyście były R ó w n o u p r a w n i o n e!!!!

Aż gestykulować zaczął, tak się zacietrzewił. Halina patrzyła poważnie w oczy mówiącego, a pracowite palce migały drutami wyjętej z walizki roboty. Gdy skończył zapytała spokojnie:

— Czy to już wszystko?

Machnął ręką.

— Eh! dużo dałoby się powiedzieć, ale do kobiety mówić — to groch o ścianę...

— Bo?...

— Niezrozumiecie z tego ani słowa!

— Dlaczego więc nie przemawiacie do nas zrozumiałym językiem?

— Czy warto?...

— Widocznie warto, jeżeli potraficie żołądkować się do tego stopnia, jak pan przed chwilą.

— Nie warto! — pani też nie lepsza od innych, tak samo pracuje w biurze, albo jest nauczycielką, a jej stanowisko doskonale mógłby zająć mężczyzna, ożenić się i utrzymać rodzinę; a pani? — tylko na stroje, na fatałaszki, na jedwabne pończoszki! — wzburzył się znowu.

— A naco pan pracuje?

— Ja nie pracuję wcale... rozumie pani? jestem bez-ro-bot-nym! — słyszy pani? Wyrzuciła mnie żydowska bankrutująca firma razem z innymi na bruk! Czy pani wie co to jest być bezrobotnym?.... Czy pani wie, że ja pierwszy raz w życiu jadę III klasą? — że będąc inżynierem drogowym, u nas w Polsce, słynnej ze swoich dróg nie mogę znaleźć odpowiedniej posady? — Czy pani to rozumie?

Druty migotały prędzej.

— Proszę pana, a jaki pan ma fach?

— Fach? jakto? — przecież mówię pani, że jestem inżynierem!

— To rozumiem ,ale oprócz tego, przecież kończąc politechnikę, musiał pan choć raz pomyśleć, że to nie wszystko! — że naprzykład w Rosji sowieckiej jakiś czas był popłatniejszy fach szewca-łatacza, niż inżyniera.

— Czy pani chciałaby, żebym został szewcem? — bezgraniczne zdumienie, połączone ze złością zadrgało w jego głosie.

— Widzi pan, moje chęci nie grają tutaj roli, a szkoda, bo właśnie opierając się na pańskich słowach, wszystkim inteligentom, oprócz ich „inteligenckiego" fachu dałabym jeszcze inny, najzwyczajniejsze rzemiosło, żeby poprostu mieli o co ręce zaczepić, w razie jeżeli ten pierwszy zawiedzie. To takie proste i wcale nie nowe, bo już mój pradziad po powstaniu 63 roku tak myślał, gdyż swoich czterech osieroconych wnuków wykształcił w ten sposób, że z inżyniera mechanika zrobił jeszcze zegarmistrza, z lekarza fachowca ogrodnika, z architekta — stolarza, a najmłodszemu, który skończył akademję handlową we Francji, założył w naszem miasteczku sklepik materjałów piśmiennych.

— I było to marnowanie zdolności, bo każdy wie, że specjalizacja, to wszystko.

— Niewiem! może to było pielęgnowanie zdolności, bo człowiek nie jest robotem, musi od czasu do czasu odpocząć, nabrać tchu i spojrzeć na wyniki swojej pracy z pewnego oddalenia, i sądzę, że nie szkodzi, jeśli w takiej chwili popatrzy czasem po koleżeńsku na ludzi z innego środowiska, pozna ich radości i troski i dążenia na własnej skórze. Ja prawnuczka pomogłam dźwigać toboły obarczonej żydówce, bo nauczyły mnie tego Ewangelja i harcerstwo, ale dziadka Walerego sklepik sprawił, że hurtowy handel papierją przeszedł w naszem mieście w ręce chrześcijańskie. Amatorskie zegarmistrzowstwo dziadka Ignacego sprawiło, że syn jego wypędzony ze szkół rosyjskich za strajki szkolne, z nieuznanem przez Rosję zagranicznem wykształceniem, przejął fach ojca i dziś jest najlepszym zegarmistrzem w okolicy, wypierając i z tej dziedziny żydów. Staruszek stolarz żywił nas wszystkich w czasie wojny umiejętnością ciesielki. — A pan co umie? Na jakiem polu pan wyparł żydów? Daruje pan, ale sądząc z jego słów, najwyżej wybijaniem szyb w czasach uczniowskich podkreślał swój antysemityzm! — bo później nawet pracę pan przyjął w żydowskiej firmie.

— Bo nie miałem innego wyjścia, choć firma ta wyzyskiwała nas najbezczelniej płacąc trzysta złotych miesięcznie.

— A jak długo pan tam pracował?

Dwa lata!

—I pierwszy raz jedzie pan III klasą? Czyż mężczyźni daleko odeszli od kobiet? My pracujemy na pończoszki, wy na droższy bilet. Już nie wiem co może być potrzebniejszem.

— W podróży przysługiwały mi djety — mruknął tonem usprawiedliwienia.

— Znaczy, że już nie trzysta złotych. Pan to nazywa wyzyskiem, dla mnie to dwumiesięczna pensja, z której dotychczas prócz własnego utrzymania, kształciłam siostrę i dopomagałam bratu, ale nie o to chodzi. Czy pan żonaty?

— Ależ nie!...

— Czy pan obejmując posadę wiedział, że firma zbankrutuje?

— Skądże? — rozwijała się świetnie — obiecywano złote góry!

— I dlaczego pan nie ożenił się?

— Ja? przy takiej pensji?

— Pan! i przy takiej pensji!

— Ależ nam na najskromniejsze potrzeby nie wystarczałoby!

— Przy umiejętnem gospodarzeniu, na chleb z powidłami i bawełniane pończochy, zawsze!

— Proszę pani, moja żona niemoże chodzić w bawełnianych pończochach!

— Jestem w domu... pan dla swojej żony może zarabiać na jedwabne pończochy. Ja pracując — nie! Dlaczego? Przyzna pan, że to ciekawe zagadnienie.

— Łapie mnie pani za słowa, rozumiejąc doskonale, że w naszej dyskusji wcale nie o to chodzi.

— Zaczyna pan mówić niezrozumiałym językiem. Zarzucał pan kobietom, że wyparły mężczyzn, że powiększyły bezrobocie i stanęły na drodze do szczęścia w zakładaniu rodziny, nie szukam daleko przykładów, tylko proszę o wyjaśnienie, jak pan użył swojej trzysta złotowej pensji? bo ja powiedziałam już, na co wydaję pieniądze.

— Proszę pani! — trzysta złotych w takiej Warszawie, to jest nic...

— Sto pięćdziesiąt złotych w takiej Gdyni to ogromna suma?...

— Kobiety umieją taniej urządzać się.

— Dążąc do równouprawnienia, naśladują mężczyzn, więc prawdopodobnie i tego nauczyły się od nich?...

— Nie, przyznaję, umiejętne ułożenie budżetu jest cechą więcej kobiecą niż męską, ale widzi pani dając kobiecie nazwisko, muszę dać wszystko, co z mojem stanowiskiem związane!

— A więc reprezentacja?...

— Trudno, żona inżyniera nie może wyglądać jak żona pierwszego lepszego robotnika.

— A jeśli pan więcej dać nie może?

— No to się nie żenię!

— Inaczej mówiąc: pan z moją podwójną pensją nie ożeni się ze mną, bo ta pensja nie wystarczy na najkonieczniejsze potrzeby, a wobec tego idzie w kąt nawet tak ważna sprawa, jak zmniejszenie bezrobocia wśród mężczyzn, boć przecie jeden z nich objąłby moją posadę?

— Operuje pani sofizmatami!

— Nieprawda, wyprowadzam logiczne wnioski z pana twierdzeń! Pan nie mógłby utrzymać rodziny za trzysta złotych, innemu i pięćset nie wystarczy i tak zestarzeją się pracując, aż ktoś zacznie zarabiać tyle, żeby starczyło na utrzymanie żony.

— Pracują przecież i mężatki!

— Muszą brać się na sposoby, jeśli nie mają ochoty na staropanieństwo.

— Ale większość ich pracuje tylko na fatałaszki!

— Naprzykład te, co rozumieją doniosłość wymaganej przez was reprezentacji...

— Znam wielu mężczyzn, którzy woleliby, żeby ich żony zrezygnowały z zajmowanych posad.

— I znam dużo mężczyzn, którzy głośno rozprawiają o potrzebie zwalniania z posad żon... kolegów. O swoich milczą.

— Ja narzeczonej zastrzegłem, że będąc moją żoną nie będzie pracowała poza domem.

— Ach! więc ma pan narzeczoną? jak dawno?

— Poznałem ją jako pensjonarkę, teraz skończyła handlową szkołę i pracuje w jednej owocarni.

— I pan jest z tego zadowolony?

— O tyle, że jestem o nią spokojny, da sobie radę bezemnie!

— Wcale w to nie wątpię, sądzę, że potrafi i za siebie i za pana myśleć.

— To już niepotrzebne, bo....

— Bo?...

— Ot, mniejsza! — zeszliśmy na takie tory, że.... Widzi pani, jak cudownie iskry sypią się za oknem?

— Bo?... — powtórzyła nie spuszczając wzroku z delikwenta.

— Bo? — Ach, bo podoba mi się pani szalenie, czy pani uwierzy, że ślicznie jej w tej sukni? — śmiał się z przymusem.

Bo?... — powtórzyła raz jeszcze, a czarne brwi zbiegły się w jedną równą kreskę.

Zawahał się, lecz raptem twarz mu pociemniała i ze złym błyskiem w oczach zaczą mówić śmiejąc się:

— Bo? bo? bo? — ach Litwo uparta! bo tak sobie, dla rozmaitości, za ostatnie pieniądze wziąłem bilet do tej stacji, co pierwsza mi wpadła w oczy, wyjechałem niewiem dokąd, chciałem dojechać gdzieś, gdzieby stał pociąg na innym torze i niechcący wpaść pod niego. Odbyłoby się wszystko cicho, bez skandalu. Rodziców niemam, narzeczona prędko pocieszy się, ale teraz przez rozmowę z panią nieuważałem na nic! Może pani być dumną, że zająłem się panią tak dalece, że zapomniałem o wszystkiem. Zresztą należało się to pani: bułki były pyszne, mleko jeszcze lepsze, a ja od trzech dni nic prócz wody nie miałem w ustach. Cześć pracowitym kobietom, co mają litość nad głodnymi! — Wstał i ze złym uśmiechem ukłonił się przesadnie.

Twarz Haliny nie drgnęła, tylko druty migocąc nierówno zdradzały zdenerwowanie. Usiadł z powrotem i jakby wstydząc się swego wybuchu zawinął się w wiszący płaszcz i przymknął oczy.

(C. d. n.) **W. R. K.**

MATKA

Powiodło się Marcinowej, wieszała właśnie bieliznę na górze, a tu jakaś tam przyszła i prosi, żeby parę kawałków z przepierki na jednym sznurze powiesić. Z Franią była z trzeciego piętra, że niby znajoma, że od pierwszego z jej poręki u doktora służy.

— Czemu nie? — Niech wiesza.

Wieszały, a przy robocie gadu-gadu, o tem, o owem, o złodziejach i o biedzie, aż dogadały się, że Marcinowa jest wdową, że z prania troje dzieci i wyżywić i odziać musi, i jeszcze im jaką „sposobność" dać w ręce, żeby mogły się w życiu o co zaczepić, jak porosną, a ona pójdzie do swojego Marcina. Dziewczyny małe, ale Antka możnaby już do terminu oddać...

A owa od doktora aż w ręce klasnęła! I dalejże opowiadać ,że ma wuja szewca, co ma sklep w suterenie, że majster jest „odpowiedni", z dużych sklepów robotę bierze i że chłopaka do terminu szuka. Z ulicy byle kogo do domu nie chce brać. A jej właśnie pani Marcinowa tak do serca przypadła, radaby pomóc. Wdowa, dzieci troje i te dziesięć palców tylko do roboty, wiadomo jak się targać trzeba! Zaraz jutro do wuja poleci i za Antkiem poprosi.

Miała zwyczaj Marcinowa wszystko dzieciom opowiedzieć, Dzielić się z niemi i troską i radością. Niech poznają jak trudno kawałek chleba zdobyć, ile trzeba się nachodzić, naprosić, z ludźmi tu i owdzie grzecznie pogadać, a nie dać go sobie wydrzeć jak w ręce wpadnie.

Zaraz zrana przy śniadaniu im opowiedziała. Właśnie rozpoczynała świeży bochenek. Jak zwykle wstała, pobożnie nożem spód przeżegnała, odkroiła sobie przylepę, a potem trzy kawały dla trojga — sprawiedliwie. Dzieci wlepiły w nią rozradowane oczy, gdy im tak o Antkowem szczęściu mówiła. Pytały o to i owo, ale cóż im miała powiedzieć, kiedy i sama nie wiedziała i strach ją zabobonny obleciał, żeby próżnem gadaniem szczęścia nie spłoszyć.

Ale nie spłoszyła. Szewc się zgodził, chłopca kazał sobie przyprowadzić. Dziewczyna pod niebiosy wysławiała dobroć wuja i przyszłość chłopaka. Od rana Antek umył się z głową, wyczesał, ubrał starannie; dziewczyny go dookoła obchodziły, że to taki ważny, matka mu na głowę czapkę włożyła i poszli.

Całą daleką drogę modliła się Marcinowa, czy aby co nie wypadnie inaczej. A tu poszło wszystko jak stalowane. Dobrzy ludzie, niech im Bóg da zdrowie! Dziś rano zabrał Antek siennik, matka paczkę z ubraniem i już całkiem do szewca się przeniósł.

Wróciła rada, aż jej dziwno, że tak prędko poszło. Dobrze tam dziecku będzie, zacni ludzie, niech im Bóg... Sporo czasu u majstra zmarudziła, teraz spieszy się i po domu krząta, bo od południa robota czeka: składać idzie i do magli. Dziewczyny krupnik podgrzały i jeść wołają. Świeży bochenek chleba na stole czeka. Wzięła go w ręce, spiesznie krzyż nożem zrobiła, odkroiła przylepę, potem jeden, drugi, trzeci... Aż się wzdrygnęła! — „O Jezu! A toż ja Antkowi chleb kroję!" — O ty chudzina moja, już matczynego nie potrzebujesz, jużeś odszedł, jak to pisklę z gniazda!..." — zaniosła się żałosnym płaczem, tak nagłym i serdecznym, że dziewczyny przerażone i oniemiałe patrzyły, nie wiedząc co robić.

— Mamo! mamo, czego mama płacze? Przecież Antkowi dobrze, mamo! — wołały same do łez gotowe — przecież w niedzielę przyjeci!

— Opamiętała się.

— A tak przyleci, przyleci! — kiwała głową, a łzy jak groch płynęły jej po twarzy.

Boguwola,

ZAWÓD A WYCHOWANIE

Życie człowieka nie zależy tylko od okoliczności i losu, lecz łączy się ściśle z czynami i dążeniami jednostki, jest wypadkową woli i usiłowań. Z tego też punktu patrząc, zrozumiemy doniosłe znaczenie poradnictwa zawodowego, pojętego nie w sensie jakiejś namowy, które chociaż posiada znaczenie bardziej praktyczne niż teoretyczne, opiera się na podstawach refleksyj i zdrowego rozsądku.

Jeśli bowiem przejdziemy różne okresy życia ludzkiego, to zawsze będziemy się spotykali z większym lub mniejszym wpływem zawodu na charakter jednostki. Jest on najmniejszy, rzecz oczywista, w pierwszych latach życia, kiedy dziecko żadnego jeszcze nie ma zawodu, a o przyszłym nic jeszcze nie wie, ani ono, ani jego otoczenie. Ale już wtedy, w pierwszych latach życia da się zauważyć pewną dążność do odgrywania jakiejś roli i usiłowanie, aby być czemś. Chęć ta nawet częstokroć kieruje zabawami dzieci najmłodszych.

Wówczas to, w czasie zabawy dzieci przybierają na siebie różne role, które wydają się im istotne przy spełnianiu pewnego zawodu przez ludzi dorosłych. Bawiące się w ten sposób dzieci wykonują czynności, które skądinąd wywołują swą naiwnością uśmiech u ludzi dorosłych. Przez zabawę zaspokajają młodociani popęd, aby stać się za wszelką cenę dorosłemi, pracującemi zawodowo ludźmi.

Charakterystyczniejszemi od tych są zabawy dzieci starszych, w czasie których dzieci przyjmują na siebie role pewnych postaci historycznych lub znanych osobistości z życia współczesnego. Zabawy te w większej mierze świadczą o poszukiwaniu dróg dla urzeczywistnienia się własnego osobowego ja jednostki.

Rozwój człowieka, obserwowany pod kątem jego przyszłego zawodu i skłonności indywidualnych, oraz warunków zewnętrznych jest nietylko zagadnieniem o dość szerokiem znaczeniu społecznem, ale także pedagogicznem i dydaktycznem. Ściśle biorąc postawienie właściwych ludzi na właściwych miejscach, to zagadnienia czysto praktyczne, choć niezawodnie łączą się z zagadnieniami ogólniejszemi. Są wynikami wewnętrznej potrzeby sformułowania poszczególnego stosunku jednostki do całokształtu zagadnień życiowych.

Tak, jak przy nauce mówienia i chodzenia dziecko wymaga opieki ludzi starszych, wymaga jej potem przy wyborze zawodu. Poradnictwo zawodowe przychodzi definitywnie do głosu, nietylko wówczas, gdy daje pewne wskazania i przeciwskazania, ale stosownie do wyników teoretycznych, może zapobiec źle obranemu zawodowi, stając się przez to skutecznym czynnikiem zapobiegającym rozgrywaniu się gwałtownych konfliktów społecznych.

Bardzo nieuchwytne prawa rozwojowe splatają się zazwyczaj tak subtelnie ze sobą, że trudno je od siebie oddzielić najwytrawniejszemu nieraz psychologowi, a cóż dopiero, gdy trzeba zabierać głos, który ma zaważyć na konfiguracji społeczeństwa.

Są wprawdzie niekiedy dzieci wybitnie lub jednostronnie uzdolnione, ale są to wypadki nieliczne, gdy dziecko jest od natury jakby predestynowane do wykonywania pewnego rodzaju pracy. Ogół zaś dzieci wykazujący przeciętny poziom uzdolnień i inteligencji pomimo, że nadawałby się do spełniania różnych zawodów, może i powinien być tak wychowany, aby przy warunkach codziennej egzystencji, trud włożony w wychowanie nie okazał się bezcelowy, a wówczas, gdy trzeba będzie zadecydować o przyszłości młodocianej jednostki, dał maksimum sił i produktywnej energji.

Liczne statystyki dotyczące wyboru zawodu, zestawienia ankiet na ten temat odpowiadają tylko częściowo na pytanie, jakiemi motywami kieruje się młodzież, mając decydować o wyborze zawodu. Samorzutne życzenia odzwierciadlają najczęściej stosunki najbliższego otoczenia młodzieży. Możnaby się nawet posunąć do twierdzenia, że odbicie liczebności poszczególnych zawodów w starem pokoleniu, na liczbowem rozgrupowaniu życzeń zawodowych młodzieży wskazuje na słaby wpływ czynników indywidualnych. Stale jednak występują pewne motywy, wyrażające się w niechęci do pewnych zawodów. Tak więc naogół dziewczęta nie lubią prac związanych z męczącym ruchem fizycznym, chłopcy zaś nie są zwolennikami prac biurowych. Także zawód ojca jest zazwyczaj mało popularny u synów. Przewiduje się zaledwie 10% dla zawodów zgodnych z ojcowskiemi i zwykle też przypadają one na najmniej uzdolnione jednostki wśród rodzeństwa. Najczęściej bowiem te rodziny, które dążą do wybicia się, pragną dla swych dzieci innego zawodu, który wydaje się lepszym, pewniejszym, wyższym. Często jednak wybór zawodu ojca jest tylko wynikiem ciasnoty poglądów, materjalnego skrępowania, braku dążeń i odpowiedniego kierownictwa.

Zorjentowanie się zatem o sile wpływu pokolenia starszego na młodsze jest problemem o niezmiernie doniosłem znaczeniu społecznem. Związanie bowiem jednostki z warunkami egzystencji jej rodziny, czyni aktualnym fakt, iż żaden młodociany osobnik nie jest wstanie nawet w przybliżeniu zdać sprawy z motywów, które są decydującymi jako pierwsze kroki na polu jego możliwości zawodowych. Uczynić to może z łatwością ktoś, kto potrafi w sposób objektywny i trzeźwy zdać sobie sprawę, zarówno z konjunktur gospodarczych, jak możliwości rozwojowych jednostki. Często doradcami takiemi są sami rodzice, a w wypadkach wyjątkowych także nauczyciele, lub wyszkoleni psychotechnicy i doradcy zawodowi.

Ewa Ekielska.

SAMORZĄD RODZINNY

Jedną z najbardziej intersujących dla wszystkich dziedzin życia jest niewątpliwie pedagogika. Dobre wychowanie dziecka, umiejętność wyplenienia z jego duszy wad a pomnożenie zalet, wykształcenie najmłodszego pokolenia narodu na najwartościowszych moralnie, społecznie i umysłowo obywateli, — wszystkie te zagadnienia zajmowały oddawna i zajmują żywo inteligencję każdego kraju. W dziedzinie pedagogiki mnoży się z tego względu od najrozmaitszych systemów wychowania i każdy z tych systemów ma tak swoich przeciwników jak i wielbicieli. Zainteresowanie się ogólne teorją wychowania młodzieży dało już ten rezultat, że dziś wszyscy rodzice zgadzają się z poglądem, iż niedość dać dziecku życie, a potem starać się tylko o jego zdrowie i potrzeby fizyczne, trzeba także umiejętnem postępowaniem wychować swe dziecko na dobrego człowieka i obywatela.

Kto ma się zająć wychowaniem dziecka? Nikt nie zaprzeczy, że obowiązek ten należy w pierwszym rzędzie do rodziców. Niestety w inteligentnych nawet rodzinach rodzice lekkomyślnie całą troskę o wychowanie syna czy córki oddają szkole.

— Jaś (czy też Basia) ma już siedem lat, trzeba dziecko oddać do szkoły, nareszcie matka odetchnie trochę, będzie miała choć kilka godzin wolnych, a i dziecko nie będzie miało tyle czasu na psoty, już szkoła się tym łobuzem zajmie, — takie zdania słyszymy bardzo często od rodziców dzieci w wieku szkolnym.

Zdaniem więc większości rodziców cały trud wychowania dziecka należy do szkoły. Rzeczą rodziny jest dać dziecku utrzymanie, ubranie, książki, dbać o zdrowie dziecka i o to, żeby miało odrobione lekcje, a resztę powinna dać szkoła. Od tej biednej szkoły wymaga się zresztą i wymaga bez końca coraz to innych rzeczy i szkole przypisuje się winę za to, co się nam w naszem dziecku niepodoba. Staś nie umie zadeklamować ładnie wierszyka na imieniny, tak jak to umie Loluś cioci Jadzi, Hala nie ma pojęcia o walczyku, a Zosia o francuskim akcencie, — no bo naturalnie, czy w szkole czegoś potrzebnego nauczą! Nadowrót Marychna ma katar, Miecio użył w rozmowie jakiegoś brzydkiego wyrazu, a Zdziś zgubił zeszyt i 10 groszy, — wszystko to szkoła winna! Taki stosunek rodziców do szkoły istnieje w bardzo wielu wypadkach. Tymczasem nie chcemy pamiętać o jednem że dziecko spędza w szkole tylko 5 — 6 godzin dziennie, a przez resztę dnia poddane jest wpływom domu, i że dziecko tak będzie wychowane, jak je wychowają w rodzinnym domu. Wpływ szkoły jest bezwątpienia bardzo duży i dlatego nie wolno nam nigdy stosować w wychowaniu dziecka wręcz innego niż szkolny systemu. Trzeba się starać, ażeby dom i szkoła współpracowały ze sobą możliwie harmonijnie. Ta harmonijna współpraca nie jest bynajmniej rzeczą łatwą do osiągnięcia, ale daje ona w wychowaniu tak nadzwyczajnie dodatnie wyniki, że obowiązkiem rodziców jest starać się ją stwo-

rzyć i utrzymać. Ale jak to zrobić? Rodzicom najczęściej brak jest fachowego pedagogicznego wykształcenia, nie są oni naukowo ani praktycznie do wychowania dzieci przygotowani, na czytaniu pism specjalnych i książek pedagogicznych najczęściej niewiele mają czasu, dlatego też w wychowaniu swych pociech kierują się rodzicielskim instynktem, wspomnieniem z własnego dzieciństwa oraz często nadużywaniem swego autorytetu w stosunku do dzieci. Nic dziwnego, że w wielu domach powstają na tem tle nieporozumienia i zatargi, niesnaski i kłótnie, łzy, narzekania że „rodzice i dzieci nie rozumieją się". Niema prawie rodziny, wśród której nie wybucha — rzadziej czy częściej — awantura na tle wzajemnego stosunku rodziców i dzieci. Tym wszystkim— rodzicom i dzieciom każdego wieku, mamy do polecenia książkę, która niewątpliwie wiele dobrego uczyni. Traktuje ta książka o „samorządzie rodzinnym" — i stąd tytuł dzisiejszego artykułu. Samorząd rodzinny bowiem proponuje wprowadzić w życie Adam Mazurek w swej powieści pod tytułem „Rosną ludzie". Powiada autor: „Najwyższy czas, żeby tę najmniejszą komórkę życia społecznego, rodzinę, wziąć pod mikroskop". W powieści swej wysuwa pomysł zorganizowania na terenie domu samorządu rodzinnego. Domaga się przyznania dzieciom pewnych praw, traktowania ich jak małych ludzi, którzy mają swoje sprawy, swoje potrzeby. Wzamian żąda od dzieci obowiązków na rzecz domu, a w pierwszym rzędzie — zrozumienia dla wysiłków i trudów, ponoszonych przez rodziców. Domaga się porozumienia z dziećmi, „aby się nawzajem — pod jednym dachem nie krzywdzono".

Tezy wychowawcze p. Mazurka są pod pewnemi względami „rewolucyjne". Przeprowadza je poglądowo w swojej powieści na żywych ludziach.

Jest więc rodzina, jakich wiele. Ojciec, urzędnik bankowy, matka wraz ze starą służącą Antoniową są zajęte domem i dziećmi. Dzieci tych jest czworo, najstarsza córka 13-letnia i trzech synów, Paweł lat 11, Marek lat 8 i Zdzich lat 5 mniej więcej. Chłopaki łobuzy jakich mało, szczególnie najstarszy Paweł, stąd w domu ciągle brewerje, awantury w szkole, bójki, łzy i tak dalej. Z dziećmi sobie poradzić może tylko ukochany przez nie ojciec, ale i ten nie ma czasu na ciągłe wglądanie w powody i rozsądzanie wszelkiego rodzaju awantur. Matka traci cierpliwość, dzieci się kłócą i biją, ojciec więc proponuje: zorganizujmy dom w samorząd rodzinny. Każdą sprawę omówimy na wspólnem zebraniu, rozstrzygniemy ją przez głosowanie, nie będzie więc już nieuzasadnionych postanowień, których dzieci nie chcą słuchać, ani osobistych zatargów.

Projekt samorządu podobał się bardzo całej rodzinie, ale wprowadzenie go w życie nie było bardzo łatwe, obfitowało w różnego rodzaju trudności i przeszkody, uwieńczone zostało jednak pomyślnym skutkiem na całej linji. Opowiada o tem autor na dwustu siedemdziesięciu stronicach swojej książki, a opowiada tak barwnie, interesująco i przekonywująco, że powieść „Rosną ludzie" radzimy wszystkim przeczytać. Książka zresztą nietylko jest intersująca w czytaniu, pełna życiowych spostrzeżeń, nietylko robi wrażenie, że autor omawia w niej prawdziwe wydarzenia ,ale i zachęca do naśladowania we własnej rodzinie. Pomówimy jeszcze o tem naśladowaniu, które ma być skutkiem lektury.

Samorząd rodzinny jest w zasadzie interesującym eksperymentem. Ale eksperyment ten może dać dobre wyniki tylko w takiej rodzinie, jaką nam przedstawił autor: w rodzinie, która już odrazu była zdrowa i dobrze zorganizowana. Owszem, dzieci były nieposłuszne i rozłobuzowane, ale nie były złe. Uznawały w każdym wypadku i bez szemrania autorytet ojca. Rzeczą ojca było załatwiać sprawy sporne, mocą swego autorytetu, czy też — jak chce autor — oddać je pod obrady samorządu rodzinnego. Ten sam samorząd mógłby jednak nie dać żadnych rezultatów w rodzinie, w której ludzie są gorsi i mniej inteligentni. Nie w każdej więc rodzinie da się taki samorząd zaprowadzić, nie w każdym wypadku da on równie znakomite rezultaty. Przemyśleć jednak pomysł p. Mazurka w żadnym razie nie zawadzi. Powieść „Rosną ludzie" i rodzicom i dzieciom wyda się z pewnością nadzwyczaj interesująca, pozwoli wejrzeć w błahe niby ale czasem jakże przykre nieporozumienia, jakie się w każdej rodzinie zdarzają, a może i w niektórych wypadkach podsunie sposób postępowania, który da dobre wyniki. Byłoby to najpiękniejszym triumfem pięknych poglądów autora.

Jana.

Czy oddawać dzieci do przedszkola?

Już niedługo dzieci pójdą do szkół i tylko ci malcy, których roczniki nie są jeszcze objęte przymusem szkolnym, zostaną w domu.

Dla młodszej dziatwy (od 3 — 7 lat) przeznaczone są przedszkola, ponieważ jednak rodzice, nie doceniając korzyści, płynących z oddania tam dziecka, zatrzymują je dla błahych przyczyn przy sobie, przeto zajmiemy się dzisiaj rozpatrzeniem wpływu przedszkoli na dzieci i — pośrednio — matki.

Dla niektórych dzieci przedszkola są wprost dobrodziejstwem — te, które mieszkają w dusznych i ciasnych suterynach, i słyszą naokoło tylko klątwy i wymysły, czują się w przedszkolu jak w raju. Związki, instytucje i miasta prowadzą przedszkola dla tej najbiedniejszej dziatwy, niestety, jest ich dużo za mało i nie mogą objąć wszystkich dzieci.

Ale i dla szczęśliwszych malców, mających zamożniejszych rodziców, przedszkola mają wielkie znaczenie. W rodzinach tych dzieci jest mało, najczęściej zdarzają się jedynaki, najwyżej parki. Rezultatem tego jest, że dzieci przyzwyczajają się do tego, że wszystko koło nich się kręci, a przebywając stale w towarzystwie ludzi dorosłych, zawcześnie przestają być dziećmi. W przedszkolu sytuacja jest zupełnie inna, wesołe grono rówieśników i freblanka, która nie robi wyjątków między dziatwą, uczą jedynaków, że jednak nie są oni centralnym punktem świata. Dlatego też dzieci rozpieszczone często przedszkoli spoczątku nie lubią, nie czują się tam dobrze, gdyż nikt ich specjalnie nie wyróżnia,

Ta kropla goryczy nie minie „mamusinych synków", w szkole jako starszym, tem trudniej będzie im się pogodzić z losem, dlatego też lepiej jest wprowadzić ten typ dzieci do społeczeństwa dziecinnego zawczasu.

W przedszkolu dzieci wyrabiają sobie zręczność paluszków lepieniem i wyplataniem, słuch — śpiewaniem, pamięć — ucząc się krótkich, do ich wieku zastosowanych wierszyków. Mają tam o wiele więcej zabawek niż w domu, to też każde dziecko może wybrać sobie tę, która jego usposobieniu najlepiej odpowiada. Dlatego też dzieci z przedszkola, nie stając się przemądrzałemi, prędzej rozwijają się umysłowo. W przedszkolu uczą się porządku i systematyczności — same muszą chować zabawki, wieszać płaszczyki na miejsce, samodzielności — same się ubierają i rozbierają, koleżeństwa — pomagają młodszym, wreszcie—karności. Dlatego też jest rzeczą stwierdzoną, że łatwiej przystosowują się do rygorów szkolnych te dzieci, które były w przedszkolu, niż te, które przyszły wprost z domu.

Przedszkola dbają również i o rozwój fizyczny powierzonej im dziatwy. Freblanka prowadzi odpowiednią gimnastykę. W dnie pogodne cała gromadka chodzi do parków, niektóre przedszkola mają własne ogródki, w których dzieci spędzają całe ranki.

Jak widać z powyższego, przedszkole może mieć wybitny wpływ na ukształtowanie się charakteru dziecka. Wpływu tego lekceważyć nie można, zwłaszcza, gdy matka niema czasu zająć się dzieckiem sama, gdy zanadto je rozpieszcza, gdy niema odpowiednich wiadomości pedagogicznych.

A jakież są ujemne strony przedszkola? Właściwie jest tylko jedna—możliwość złapania choroby zakaźnej. Możliwość ta jednak istnieje wszędzie: w tramwaju, w parku i na rynku. Żeby jej uniknąć, trzebaby dzieci wsadzić pod klosz, gdyż niestety, matki nie liczą się z tem, że bagatelny katar, może być początkiem odry, więc lepiej zatrzymać dziecko w domu. Rodzice pociech wątłych i słabych muszą brać to pod uwagę, a niektóre choroby można zaszczepić, usuwając w ten sposób niebezpieczeństwo zakażenia. Żeby uniknąć zarażenia gruźlicą, jaglicą, powinny być przyjmowane do przedszkola tylko dzieci zbadane przez lekarza.

Zarzutem, wysuwanym często przez matki jest, że dzieci w przedszkolu nic się nie uczą. Zarzut zupełnie niesłuszny, nauka właściwa należy do szkoły, zadaniem przedszkola jest ogólny rozwój dziatwy.

Matka, która oddała dzieci do przedszkola, wie, że są one tam pod dobrą opieką, że nic się im złego nie stanie, może więc spokojnie zająć się swymi sprawami, poszyć, poczytać i odpocząć od kochanych ale czasami męczących pociech. Matki przemęczone, zdenerwowane powinny wziąć to pod uwagę — znam mamusię przemiłej zresztą trójeczki, która twierdzi, że zajmując się dziećmi sama, doszła do rozstroju nerwowego, a uczuła się zupełnie dobrze z chwilą, gdy i najmłodszą córeczkę oddała do szkółki, uzyskując w ten sposób spokojne ranki. Z tego punktu widzenia matce opłaca się najlepiej oddanie do przedszkola wtedy, gdy w domu nie pozostanie już ani jedno dziecko, albo tak małe, że wymaga osobnych starań i pielęgnacji.

Dla tych pań, które nie lubią chodzić, konieczność odprowadzania i przyprowadzania może być wprawdzie niemiła, ale wiemy przecież, że ruch jest potrzebny dla zdrowia. Nie powinno więc i to być przeszkodą w oddawaniu dziecka do szkółki.

A zatem — nie bójmy się przedszkoli. Dadzą one dzieciom wiele miłych chwil, a matce — trochę zasłużonego wypoczynku.

W. Dziewulska.

O miodzie pszczelim — Witaminy... a miód pszczeli

(c. d.)

Między wielu składnikami miodu pszczelego, które wywierają zbawienny wpływ na nasz organizm, znajdują się także w ograniczonej ilości witaminy.

Zanim jednak rozpatrzymy stosunek witamin do miodu pszczelego, należy nam się cośkolwiek zastanowić na tem, czem właściwie są witaminy.

Już sama nazwa wskazuje nam na to, czem one są. Vita, bowiem, to życie. Witaminy więc, to eliksir życiowy. Nazwę ich wymyślił jakie 25 lat temu Funk z Nowego Jorku. Jednak przez dalsze 20 lat cały świat naukowy nadaremno ich szukał, znano je bowiem tylko z ich działania na nasz organizm. Napisano kilka tysięcy prac naukowych, ale poza hipotezami nie doprowadziły one do niczego. Dopiero jednemu z chemików niemieckich Windausowi z Göttingen, udało się stwierdzić, czem one są. Dawniej bowiem wiedziano tylko tyle, że w pokarmach przez nas spożywanych, znajdować się musi coś takiego, co przez gotowanie zostaje zniszczone.

Prócz tego zdawano sobie sprawę z tego, że witaminy, mimo, że są one bardzo maleńkie, dla życia naszego i budowy naszego ciała mają ogromne znaczenie i są wprost nie do zastąpienia. Tam, gdzie witamin brak, występują ciężkie schorzenia jak krzywica kości, szkorbut, szał i wiele innych, które wkońcu, nieleczone, doprowadzić muszą do śmierci.

Witaminy więc, są to związki albo połączenia węgla (C) z tlenem (O), wodorem (H), oraz czasami i azotu (N). Nie są one same w sobie pokarmem, tylko pośredniczą niejako w użyciu związków pożywnych przez żywą komórkę organizmu.

Zazwyczaj w spożywanych przez nas pokarmach znajdujemy w dostatecznej ilości witaminy, brak jednak witamin (awitaminoza) powoduje stan chorobliwy, do czego również doprowadzić może nadmiar tychże (hiperwitaminoza).

Badania nad tem, czy w danym pokarmie znajdują się witaminy, nie można przeprowadzić drogą analizy chemicznej, gdyż wtedy witaminy giną. Stwierdzić jedynie można przez próby z różnymi rodzajami pokarmów.

Próby takie przeprowadzano również co do zawartości witamin w miodzie. Pod uwagę wzięto mianowicie 3 grupy młodych królików, z których każda otrzymywała różnego rodzaju pokarm. Pierwsza grupa otrzymywała pszenicę, surowe mleko i zwykłe siano. Druga grupa odłuszczoną pszenicę, przegotowane mleka i przegrzane siano. W tej grupie pokarmowej, przez odłuszczanie, przegotowanie i przegrzanie zostały wszystkie, zawarte w nich witaminy zniszczone. Trzecia grupa otrzymywała ten sam pokarm co grupa druga, jednak codziennie dawano jej pewną ilość miodu pszczelego (nie sztucznego). Wkońcu otrzymano następujący rezultat. Króliki pierwszej grupy rozwinęły się normalnie; drugiej grupy — traciły na wadze, chudły, zaczęły chorować i po jakimś czasie życie zakończyły; trzeciej grupy, prześcignęły grupę pierwszą, tak co do wielkości, jak i co do wagi, oraz okazywały nadzwyczajną energję życiową. Dowiedziono przez to, że witaminy zawarte w tej małej ilości miodu, którą dodawano do bezwitaminowego pokarmu, nietylko zastąpiły witaminy, znajdujące się w normalnym pokarmie, lecz nawet je przewyższały.

Podobne doświadczenia-próby przeprowadzono również i na innych zwierzętach z tym samym rezultatem. W ten sposób więc przekonano się, że miód jest produktem zawierającym witaminy.

Powstawanie witamin nie jest jeszcze ściśle określone. Wiemy, że niektóre witaminy możnaby nawet i sztucznie wytwarzać, gdyby produkcja ich nie była bardzo kosztowna.

Wiemy jednak, że organizm ludzki i zwierzęcy, nie jest w stanie witamin produkować (jedynie tran ryb morskich zawiera pewne ilości witamin), wobec czego rośliny pozostają niezastąpionym producentem witamin. W każdym razie witaminy są produktem przemiany materji w roślinach.

Tak, jak za każdym wynalazkiem idą legjony ulepszeń, zmian i t. d., tak i po stwierdzeniu czem są witaminy, mózgi uczonych stanęły do wyścigu i rozpoczęło się rozdrabnianie witamin na grupy. Ile ich jest, nie można dokładnie określić, bo możliwem jest, że właśnie „wczoraj", czy „dziś", wyodrębniono znowu nowe grupy witamin.

Podzielono już witaminy na kilka grup i nazwano je początkowemi literami abecadła od ABC... i t. d. Każda z tych grup znajduje się w czem innem i posiada swoje specyficzne walory.

Witamina A wpływa na rozwój organizmu. Potrzebny on jest przedewszystkiem dzieciom, gdyż wpływa on bezpośrednio na tworzenie tkanki kostnej. Wielka stosunkowo ilość witamin A znajduje się w szpinaku, kapuście, sałacie główkowej, miodzie, w kiełkach ziarn, tłuszczu mlecznym, żółtku jaja, a w małej ilości w słoninie. Również niektórzy badacze uzależniają żółty kolor masła, marchwi i kukurydzy od zawartości witamin A. Podlega on działaniu promieni słonecznych, a zwłaszcza promieniom ultrafioletowym. Wrażliwy jest na światło, a łącznie z przystępem powietrza oksyduje (utlenia się i ginie. Jest on również oporny na wysoką temperaturę, ale tylko bez dostępu powietrza.

Witamin B — to witamin antineurytyczny. Brak tego witaminu przyczynia się do chorób na tle nerwowem, a zwłaszcza do szału (beri-beri, amok), szwankuje bowiem przez to wymiana materji i powstają kurcze nerwowe. Znajduje on się prawie w każdym zbożu, a najwięcej w zewnętrznej warstwie ziarna. Czem grubsza więc mąka, tem więcej zawiera witaminów. Biały chleb (pszenny) nie posiada ich prawie zupełnie. Miód, marchew, szpinak, ćwikła, bób i groch zawierają ich dużo; mniej pomarańcze i cytryny, a najmniej jabłka, gruszki, banany i śliwki. Witamin ten na działanie powietrza oraz ciepła jest odporny, choć nie znosi alkalicznego otoczenia. Wynika więc, że nie traci on swego znaczenia przez gotowanie i przechowuje się dobrze w pokarmach kwaśnych. Zniszczeć może przy podniesieniu temperatury do 120° C.

Witamin C — to witamin przeciwszkorbutowy. Brak tegoż powoduje szkorbut, w rozwoju którego wypadają zęby i tworzą się wrzody na dziąsłach. Dotknięty tą chorobą traci stopniowo apetyt „chudnie i słabnie, a skóra staje się popielatą. Znajdujemy ten witamin w świeżej jarzynie. Jest on wrażliwy na wyższą temperaturę.

Witamin D wpływa przeciw marazmowi, powodującego zanik muskulatury organów wewnętrznych. Znajdujemy go w mleku, ziarnach ,owocach, ale nigdy w tłuszczach i olejach.

Witamin E — to witamin antirachityczny. Brak tegoż sprowadza zmiękczenie kości i rachitis, choć i inne wpływają na to przyczyny. Leczy się je przez podawanie pokarmów zawierających witaminy E jak mleko, jaja, jarzyny, masło i mąka owsiana. Można je też doprowadzić przez promienie pozafiołkowe, przydając do tej kuracji potrawy, zawierające fosfor i wapno.

Witamin F — to witamin potęgujący płodność. Brak tego może pociągnąć za sobą poronienie płodu, lub zarodek może zmarnieć przedwcześnie, albo wsiąknąć w ciało matczyne. Znajdujemy go w mleku, żółtku, wątrobie, a także grochu, szpinaku, ziarnach owsa, żyta i pszenicy (zwłaszcza w oleju z zarodków pszenicy). Jest odporny na wysoką temperaturę, światło i działanie powietrza.

Tak przedstawiałby się krótki przegląd witamin. Są oczywiście i inne grupy i podgrupy.

Chcę także zaznaczyć, że dotychczas w miodzie znaleziono witaminy A i B. Już to samo podnosi wartość leczniczą miodu. Czy, i inne grupy witamin znajdują się w miodzie, tego dotychczas nie stwierdzono, wiemy bowiem, że nauka a zwłaszcza jej wyniki, postępują bardzo powoli.

O tem, w jaki sposób witaminy dostają się do miodu, istnieją rozmaite przypuszczenia. W każdym razie roślinny pyłek, którego pszczoły zbierają z kwiatów do wychowu nowego pokolenia, odgrywa tu ważną rolę. Zwłaszcza jakość witamin w miodzie zależy od tego, z jakich roślin pszczoły znoszą pyłek, który później, dostawszy się do miodu, wytworzył w nim odpowiednią grupę życian — czyli witamin.

Już z tego krótkiego opisu witamin przekonujemy się, jaką one mają wartość dla naszego organizmu. Pewnikiem jest, że bez witamin nie byłoby do pomyślenia nasze życie. A że miód, mimo, że stwierdzono w nim dotychczas 2 grupy, zawiera również witaminy, wpływa on zbawiennie na rozwój naszego organizmu witamin A), oraz na nasz system nerwowy (witamin B). Jednym słowem miód pretenduje przez to do środka leczniczego.

Krótko: „Miód leczy"!

W końcu o jeszcze jednej właściwości miodu chciałbym wspomnieć. Bakterjolog prof. Stakert z Colorado, po żmudnych doświadczeniach dowiódł, że w prawdziwym, niesfałszowanym miodzie, giną wszelkie bakterje, powodujące choroby przewodu pokarmowego. Najskuteczniejszy do tego jest miód w 60% rozcieńczeniu — mimo, że nie traci on tej właściwości nawet przy 10%.

Reasumując powyższe właściwości miodu, dochodzimy do tego, że:

„Miód leczy"!

(d. c. n.)

Śmigielski Konrad.

Od Administracji

Nieregularne wpłacanie prenumeraty naraża nas na duże trudności w prowadzeniu wydawnictwa oraz sprawia, że musimy uciekać się do przerywania ekspedycji.

Uprzejmie więc prosimy Szanowne Panie Prenumeratorki o wyrównanie zaległości jak również o wniesienie przedpłaty na bieżący miesiąc lub kwartał.

HERBATA

Jednym z najpopularniejszych napojów codziennych jest niewątpliwie herbata. Można ją podać zdrowemu i choremu, delikatny zapach nie może nigdy i nikomu sprawić przykrości, a przyprawiona bądź ze śmietanką, bądź z cytryną, winem, arakiem czy sokiem, zmienia swój smak, mogąc zadośćuczynić wszelkim upodobaniom. Na wytwornym podwieczorku w salonie z ciasteczkami i słodyczami, podana w cienkiej porcelanie na koronkowej serwecie jest równie na miejscu, jak w fajansowym kubeczku, postawiona na stole z surowego drzewa obok kromki razowego chleba.

Jako roślina należy herbata do tej samej rodziny co kamelja. W stanie dzikim wyrasta do rozmiarów drzewa, przy racjonalnej hodowli rzadko pozwalają jej wyrosnąć wyżej jak na 1 — 2 metry. Liście ma zawsze zielone, skórkowate, podłużne lub jajowate, z pomiędzy których wychylają się duże, białe, zlekka zaróżowione, wonne kwiaty.

Jako pierwotne dwa gatunki uznano herbatę assamską i chińską, pierwsza ma liście znacznie większe i przez botaników i hodowców uznana jest jako pramacierz wszelkich gatunków herbaty.

A jest tych gatunków, nie mówiąc o gatunkach handlowych, tylko botanicznych, około szesnastu. Na wytworzenie się ich złożyła się kultura i wysilki hodowców w połączeniu z warunkami naturalnymi klimatu i gleby.

W kulturze znajduje się herbata mniej więcej od lat 1500, a rozpowszechnienie jej jest olbrzymie. Znajdujemy ją w Chinach, Japonji, Kochinchinie, Korei, Indjach wraz z Cejlonem, Jawie, Sumatrze, Australji i wyspach Fidżi, południowej Afryce, Brazylji i Północnej Ameryce.

Herbatę sadzą zazwyczaj na wilgotnych gruntach, często na stokach południowych, nawożąc ziemię starannie. Plantacje czysto herbaciane stanowią rzadkość, zazwyczaj herbaciane krzaki rozrzucone są nieregularnie, albo rzędami wśród pól, obsadzonych innemi roślinami, np. na polach ryżowych, wzdłuż wzniesionych ponad silnie nawodnioną rolę miedz.

Wywodzi się herbatę z nasienia, roczne roślinki wysadzając na miejsce przeznaczenia. W trzecim roku zaczyna się właściwy zbiór, dokonywany przez zeskubywanie młodych listków w miarę, jak się rozwijają w przeciągu od kwietnia do września. To, co się w handlu zowie kwiatem herbacianym, nie ma z właściwym kwiatem nic wspólnego, są to malutkie, jedwabiste, białawe listeczki, które się dopiero wywijają z pąków.

W siódmym roku, rola krzewu dochodowego jest skończona. Zostaje on wówczas zastąpiony nowym, albo bywa narazie tylko tuż przy ziemi ścięty, wyzyskuje się zaś dla zbioru młode, wybijające z korzenia pędy.

Historyczne wiadomości, dotyczące herbaty sięgają roku 350 po Chrystusie, kiedy użycie jej stwierdzono w Chinach.

Jak zwykle jednak wszelka historja zaczyna się od legendy. Pewien święty buddyjski, miał uczynić ślub, że skazuje się na dobrowolne męczeństwo, pozbawiając się snu. Ponieważ nie mógł opanować senności, obciął sobie powieki i rzucił na ziemię. W miejscu, gdzie ziemia nasiąknęła krwią, wyrosły bujne krzewy herbaciane, których liście mają tę właściwość, że napój z nich przyrządzony, spędza z oczu sen.

Do Europy przywiózł herbatę w r. 1550 pewien kupiec perski.

W r. 1595 w opisie Indji znajdujemy bliższe dane o herbacie.

Na początku XVII w. poseł rosyjski przywiózł w darze carowi moskiewskiemu herbatę, która przyjęła się niemal odrazu i stała ulubionym napojem rosyjskim.

We Francji w połowie XVII wieku figuruje herbata chińska, jako lekarstwo w cennikach aptecznych.

Przez czas dłuższy zyskuje sobie popularność jako lekarstwo, zwłaszcza na zachodzie. Lekarze holenderscy i francuscy stosowali napar z liści herbacianych niemal we wszystkich cierpieniach, zalecając picie dla przedłużenia życia od 30 do 50 kubków herbaty codziennie.

W Polsce ks. Kluk w swoim „Opisie roślin potrzebnych i pożytecznych", drukowanym około 1780 roku, wyraża się o herbacie chińskiej bardzo nieprzychylnie. Uważa ją za szkodliwą na nerwy, a przez obfitość płynu, wprowadzoną do organizmu, rozwadniającą nadmiernie soki naturalne.

O gatunkach i przygotowywaniu suchej herbaty opowiemy przyszłym razem.

T. W.

W każdym wieku należy pielęgnować swój wygląd

Z urodą osób starszych jest podobnie jak z ich zdrowiem, nietyle muszą chorować ile chorują z własnej winy przez lekceważenie elementarnych zasad higjeny. Z wiekiem opuszcza nas kokieterja, która w zakresie fizycznym spełnia podobną rolę jak ambicja w umysłowym. Obie pobudzają do wysiłków stanięcia na możliwie wysokim poziomie.

Kiedy przestaje nam zależeć na tem aby się innym podobać zaczynamy się poprostu zaniedbywać, a wyrzekając pewnych uroków życia szukamy kompensaty w dogadzaniu swemu żołądkowi, swojemu lenistwu i t. p. Albo tyjemy nadmiernie albo pozwalamy aby nasza skóra wysychała jak pergamin, jemy zadużo albo niestosowne dla nas potrawy i nawet nie spostrzegamy tego, że mamy brodę puszystą jak młodzieniec, że włosy nasze wyglądają jak lśniąca cerata albo jak suche pakuły, w zależności od predyspozycji. Gramy w brydża po nocach w dusznem powietrzu pokojowem, nie chodzimy na spacer, pijemy i jadamy ostre potrawy, a wszystko to mści się fatalnie i na zdrowiu i na urodzie.

Powie mi może która z pań w podeszlejszym wieku, że dbałość o urodę nie przystoi ludziom starszym; na to się nigdy nie zgodzę. Przecież nie mówi się o malowaniu nawet nie o kremach, ani o pudrze, chociaż użycie tak jednego jak drugiego byłoby bardzo na miejscu, byle w sposób odpowiedni, ale o prostem pielęgnowaniu swojego wyglądu, żeby był ludziom, którzy z nami obcują, miły. Znane są częste wypadki, że wnuki nie chcą całować babuni, niechże się babunia uderzy w piersi i powie czy przyczyną tej niechęci nie jest czasem zadaleko posunięta abnegacja w ubraniu czy uczesaniu?

Staranność „koło siebie' 'obowiązuje w każdym wieku. Słyszałem kiedyś opinję, że stare osoby źle pachną. Bynajmniej. O ile są zdrowe i staranne, nie mają do tego najmniejszej przyczyny, nawet przeciwnie, osoby młode, używając dużo ruchu pocą się przecież znacznie więcej, cierpią też często na nadmierne wydzielanie tłuszczu, który ma też pewien zapach, zwłaszcza jeśli nie jest świeży. Ale osoby młode dbają o siebie, pielęgnują i swoje ciało i swoje suknie a to ostatnie u osób starszych zazwyczaj bardzo szwankuje.

Panie w podeszlejszym wieku noszą latami całymi ciemne albo czarne szaty, których się wcale nie pierze. Każde ciało wydziela trochę potu, nawet takie, które się właściwie nie poci, każde wydziela trochę tłuszczu nawet t. zw. skóra sucha. Pozatem złuszcza się zawsze część naskórka. To wszystko razem pozostaje na odzieży i technie w zaduchu szafy latami.

Żeby tego uniknąć należy odzież, którą mamy zamiar nosić latami, robić z materjału nadającego się do prania, należy ją też często wietrzyć. Pozatem nie kierując się żadnemi pretensjami musimy jednak dbać o siebie, trochę talku w pończochy, w fałdy skóry, trochę wody kolońskiej pod pachy, nie mówiąc już o myciu i kąpieli, które się same przez się rozumieją.

Pielęgnowanie kosmetyczne powinno dotyczyć przedewszystkiem skóry, która w starszym wieku bywa zazwyczaj bardzo sucha, przez co i zmarszczki stają się gorsze. Schną ręce i skóra na głowie, domagając się koniecznie pożywki. Kilka minut fatygi i kilka groszy co jakiś czas, zapewnią każdej starszej pani potrzebne jej kosmetyki. Odrobina boraksu do wody, mydło najlepiej marsylskie, tańsze nawet od pachnących a doskonałe dla skóry, domowy krem do rąk i maść na włosy, dadzą się przygotować bez dużego kosztu i wysiłku. Czy to taka duża robota albo czy duży wydatek, wziąć jedno żółtko, utrzeć z łyżeczką olejku ze słodkich migdałów, łyżeczką gliceryny, dwoma łyżkami wódki, sokiem z pół cytryny i kilku kroplami amoniaku? Będzie doskonały krem do rąk, odpowiedni zresztą dla każdego wieku. Na suchą skórę na głowie zalecić można smalec wieprzowy, bardzo oczywiście świeży. Na 1/8 kg smalcu wziąć 20 gramów olejku migdałowego, lekko zagrać i starannie wymieszać, dodając dla zapachu kilka kropel olejku różanego. Ponieważ kilku kropel nie można wlać do buteeczki ,olejek różany, kupowany dla celów perfumeryjnych czy cukierniczych nalewamy zazwyczaj zaraz w sklepie do olejku czy spirytusu w zależności do czego jest nam potrzebny. Jako płyn do ożywienia skóry na głowie możemy zalecić płyn następujący: w 50-ciu gramach wody kolońskiej rozpuścić 5 gr resorcyny, wlać skromną łyżeczkę od herbaty oleju rycynowego, świeżego, dobrze skłócić i dodać 150 gr wódki. Do twarzy, jeśli nie używamy niczego na dzień, dobrze jednak użyć trochę kremu lanolinowego dobrej marki na noc. Nie tyle, aby się mocno świeciła, ale po umyciu wetrzeć trochę, aby nabrała giętkości.

Puder na zniszczonej cerze nie wygląda dobrze, zbiera się bowiem w fałdach, podkreślając jeszcze bruzdy, ale odrobina kremu matującego, dobrze roztarta, nadaje ładną matowość i nieco rozjaśnia ciemnawą zazwyczaj skórę osób starszych. Pomadka do ust kolorowa nie jest oczywiście odpowiednia, na zwiędłych wargach sprawia bardzo złe wrażenie, ale trochę pomadki przezroczystej, która usta odświeża, powinna znaleźć zastosowanie nie jako kosmetyk, ale rodzaj lekarstwa. Ręczę, że jeśli babunia którego dnia podda się kilku niewinnym, niekosztownym zabiegom, zonduluje, bodaj w domu żelazkiem włosy i t. p., pomyśli o manicurze, spotka się napewno z tem, że ktoś z domowników powie: — o, jaka babcia dziś ładna.

F. D-ski

Co powinno się wiedzieć o wściekliźnie

Wścieklizna jest chorobą zakaźną, wywoływaną przez specyficzny zarazek. Podlegają jej specjalnie psy, które w okresie szału przez ugryzienie mogą zakazić ludzi jak i różne zwierzęta (koty, bydło rogate i t. p.). Wścieklizna jest chorobą nieuleczalną, chroni przed nią jedynie szczepienie specjalne, w porę wykonane, t. j. w jaknajkrótszym czasie po ukąszeniu przez chore zwierzę. Szczepionkę tę, w roku 1886 wynalazł uczony francuski Pasteur, a obecnie stosuje się szczepionkę udoskonaloną.

Wścieklizna u psób przebiega w sposób następujący. Okres wylęgania choroby, t. j. czas upływający od chwili zakażenia (ugryzienia przez chore zwierzę), do czasu wystąpienia pierwszych objawów choroby, bywa różnie długi, od 3 tygodni do kilku miesięcy.

Pierwszemi objawami choroby są: zmienność charakteru zwierzęcia i kapryśność, oraz zmniejszona chęć do jedzenia. Później zwierzę staje się łatwo pobudliwe, szczeka głosem ochrypłym, wreszcie dostaje napadu szału w czasie którego występuje wyraźne zaczerwienienie gałek ocznych, a z pyska toczy się piana, pobudliwość zwiększa się, zwierze chore napada i gryzie ludzi i zwierzęta napotkane. Zwierzę w przystępie silnego niepokoju, który go ogarnia ucieka z domu i wałęsając się ginie z powodu wyczerpania i porażenia mięśni krtani. Kurcze mięśni połykowych i krtaniowych, poprzedzające ich porażenie, są przyczyną t. zw. wodowstrętu, to jest stanu, w którym zwierzę choć spragnione nie może łykać spowodu kurczy mięśni połykowych.

U ludzi przebieg choroby jest podobny do tego, który spostrzegamy u psów i innych zwierząt. Okres wylęgania się choroby jest różnie długi (od 3 tygodni do 9 miesięcy). Choroba rozpoczyna się gorączką, niepokojem i bólami silnemi, umiejscowionemi w miejscu, gdzie znajdowała się rana zadana przez ukąszenie zwierzęcia chorego na wściekliznę. Po kilku dniach występują objawy wodowstrętu, wywołane tak jak u zwierząt bolesnemi kurczami mięśni połykowych przy próbie picia. W tymże czasie oddychanie jest utrudnione z powodu analogicznych kurczów w mięśniach współdziałających przy oddychaniu. Stopniowo bolesne kurcze obejmują inne grupy mięśni, dołącza się ślinotok, niepokój coraz to wzrastający, wreszcie atak szału i znaczne podwyższenie temperatury (ponad 40° C).

Jak już wspomnieliśmy, wścieklizna jest chorobą nieuleczalną, można jej tylko zapobiec szczepieniami ochronnemi w porę, t. j. w jak najkrótszym czasie po ukąszeniu przez chore zwierzę. Ponieważ jest to sprawa ważna, należy zawsze szczepić człowieka pokąsanego: 1) przez zwierzę, którego zachowanie nasuwa przypuszczenie, że jest ono chore na wściekliznę, 2) przez zwierzęta bezdomne, wałęsające się i nieznane.

W przypadku, gdy po ukąszeniu nieznane zwierzę (pies, kot), zostało zabite, należy odciąć jego głowę, i przesłać ją bądź wprost do Zakładu Higjeny Państwowej (Warszawa, ul. Chocimska Nr. 24), bądź w warunkach wiejskich, do lekarza powiatowego, z zaznaczeniem, że jest to głowa zwierzęcia podejrzanego o wściekliznę. Nie czekając na nadesłanie odpowiedzi, czy głowa danego zwierzęcia, przy badaniu wykazała charakterystyczne dla wścieklizny zmiany, czy też nie, podjąć trzeba szczepienie ochronne. Jest ono najzupełniej nieszkodliwe, jeśli stosuje się je nawet ludziom zupełnie zdrowym.

Dawniej gdy metoda wyrobu szczepionki przeciwko wściekliźnie nie była jeszcze udoskonaloną, osoba pogryziona musiała udawać się do dużego miasta, gdyż tylko na miejscu, gdzie szczepionkę wyrabiano, można było przeprowadzać szczepienie. Obecnie Zakład Państwowej Higjeny (podobnie jak i w innych krajach) wyrabia szczepionkę przeciwko wściekliźnie, która nie traci swych właściwości ochronnych w ciągu kilku miesięcy, tak więc każda apteka na prowincji posiadać może i powinna, choćby zapas kilkunastu ampułek szczepionki przeciwko wściekliźnie. Szczepienie ochronne odbywa się przy pomocy zastrzyków szczepionki pod skórę brzucha.

Zastrzykuje się ją w ciągu 20 dni bez przerwy, co dnia 1 ampułkę zawierającą 2 cm³ szczepionki. Dawki dla dzieci są identyczne z dawkami dla dorosłych.

W przypadkach, gdy pokąsaniu uległo kilka osób, tak, że ewentualny zapas szczepionki w aptece miejscowej nie wystarcza, lub gdy wogóle apteka szczepionki nie posiada, do Zakładu Państwowego Higjeny w Warszawie można wysłać zapotrzebowanie telegraficznie (ze względu na pośpiech). Najlepiej, gdy tego rodzaju zapotrzebowanie podpisuje lekarz miejscowy, do którego zgłosiły się osoby pokąsane.

Rany po ukąszeniu przez zwierzęta, podejrzane o wściekliznę, należy dokładnie zdezynfekować nalewką jodową lub przylapisować. Opatrunek powinien być wykonany również jak najwcześniej. Początkowo krwawienia nie tamować zbyt intensywnie, gdyż wraz ze spływającą krwią spływa również wszczepiony jad. Na drobne, słabo krwawiące ranki, można postawić bańkę (tak jak się stawia zwykle suche bańki), dopomaga to wydaleniu się większej ilości krwi z miejsca zakażonego. Wyssanie ranki ustami jest niebezpieczne, ze względu na ewentualne istnienie na wargach nawet zupełnie niewidocznych pęknięć naskórka, przez które zakażenie wniknąć może do organizmu.

Im bliżej głowy znajduje się miejsce ukąszenia przez zwierzę chore na wściekliznę, tem jest niebezpieczniejsze, ze względu na szybszy rozwój choroby. Szczególnie niebezpieczne są choćby drobne ranki z ukąszenia na twarzy i szyi. W tych przypadkach szczepienie powinno być podjęte jaknajszybciej, aby zdołało ocalić życie osobie pogryzionej.

Ludzi, pokąsanych przez chore zwierzę, którzy nie poddawszy się szczepieniu ochronnemu przeciwko wściekliźnie i ulegli tej strasznej chorobie, należy bezwzględnie kierować do szpitali dla chorób umysłowych, gdyż inne szpitale nie posiadają odpowiednich pomieszczeń dla ludzi z napadami szału, a niebezpieczeństwo, jakie stanowią dla otoczenia, wymaga ścisłej ich izolacji od ludzi zdrowych.

Dr J. E.

O tem co będzie

Jeszcze długo cieszyć się będziemy ciepłemi promieniami słońca. Chociaż czasem się westchnie, że dzień jest już coraz krótszy.

Jeszcze długo nosić będziemy letnie suknie i kostjumy, zwłaszcza na wsi i na letnisku. (Otulając się tylko starannie wieczorem, wiadomo bowiem, że „od świętej Anki, chłodne wieczory i ranki").

Jeszcze długo nie zechcemy się rozstawać z białemi pantoflami, które tak doskonale „ubierały". I z wygodnemi sandałkami i ich niezliczonemi odmianami.

Ale pomimo tego, że trwać będzie to nasze „jeszcze", przygotowano już to wszystko, w co trzeba się będzie ubierać. To, co przyniesie wiele kłopotu, wydatków i co właśnie dlatego wymaga oględności i głębokiego zastanowienia.

Każdy sezon zwykle się ustala dopiero po pewnym czasie, przynosząc na początku modele i projekty mniej zdecydowane.

Tym razem jednak żurnale jesienno-zimowe, przygotowane w olbrzymiej kolekcji, nie zawierają nic krzycząco - niespodziewanego. Oczywiście niedługo ukażą się kreacje na rewjach, które spadną na referentki, jak deszcz ognisty.

Tymczasem jednak nie mamy powodów do nadmiernych obaw. Nic extra wogóle, poza wieloma bardzo charakterystycznemi szczegółami.

A więc na ulicę w dalszym ciągu wszechwładne panowanie kostjumów. Angielskie, klasyczne, o stylu męskim. Jedno i dwurzędowe. Z kieszeniami i bez. Dużo z pośród nich ma z tyłu, w pasie wymarszczanie, ściągnięte na gumę. Albo po parę zaszewek, wcinających linję pleców. Długość nie przekracza linji bioder.

Niektóre kostjumy są jednolite, to znaczy spódniczki i żakiety mają jednakowe. Widzi się jednak modele, zestawiane, to zn. spódniczkę gładką, a do niej żakiecik w kratę lub z materjału angielskiego przerabianego.

Do kostjumów przedpołudniowych nosi się spódniczki proste, poszerzane za pomocą fałd (jesteśmy przecież takie wygodne!).

Ale kostjum utrzymuje się nadal na wszelkie pory dnia. A więc na popołudnie na wizyty i zebrania nosić się będzie kostjumiki wełniane, aksamitne i jedwabne. Do nich spódniczki lekko kloszowe, albo drapowane z boku.

Żakieciki z baskinkami fantazyjnemi. Długie rękawy i jako ozdobę kamizeleczki powiewne z koronki, tiulu lub szyfonu. Lekkie i niezmiernie wypracowane. Taki kostjumik niesłychanie praktyczny i wytworny ubiera każdą sylwetkę.

Ten rodzaj ubrania pozostaje nadal i w dziedzinie toalet wieczorowych. Wtedy obowiązuje długa, prosta i wąska spódnica, opierająca się aż na ziemi. Albo spódnica również długa, kloszująca. Do takich czarnych spódnic nosi się albo żakieciki albo najmodniejsze długie do kolan casaque'i (kasaki).

Taki casaque musi być odrębnego koloru, przeważnie o szerokiej marszczonej lub kloszowej baskinie, sięgającej do kolan, niektóre baskiny robi się proste i krótsze. Jako materjał, jedwabie w deseń, lamy i koronki. Pod koronkowy casaque nosi się staniczek w kolorze spódnicy, głęboko wycięty.

Jako pewnego rodzaju nowość należy zasygnalizować kostjumy z długiemi żakietami do kolan. Spódniczki proste, żakiety do pasa wcięte, od pasa mocno kloszujące. Ten rodzaj kostjumów będzie faworyzowany na popołudnie. Nosić się do nich będzie albo długie casaque w kolorze odrębnym, albo całkowitą suknię. Wśród tych modeli mało spotyka się modeli sportowych.

Bardzo charakterystyczną cechą kostjumów na ulicę jest uzupełnianie ich szalem, okalającym szyję w sposób różnorodny. Noszenie kostjumu bez szala będzie nie do pomyślenia.

Marieta.

HIGJENA SZKLARNI

W ogrodnictwie należy zwracać baczną uwagę na choroby i szkodniki pustoszące i obracające cały nieraz trud na marne.

Przy produkcji roślin w szklarni czyli oranżerji, zagadnienie walki ze szkodnikami jest bardzo aktualnem, ze względu chociażby na duże stosunkowo koszta, wkładane w niewielką, bo ujętą w ramy szklarni, produkcję.

Najczęściej pojawianie się wszelkiego robactwa na roślinach szklarniowych bywa wynikiem zaniedbania szklarni pod względem higjeny.

Przyznać należy, że na czystość w szklarni zwraca się dotychczas mało uwagi, szczególniej niewielkie szklarnie po ogrodach dworskich pozostawiają w tym kierunku wiele do życzenia. I tak: okna nigdy nie są myte, parapety nie zmiatane, doniczki również nie myte, skrzynki do pikowania nigdy nie dezynfekowane i miski do wysiewów również.

Najstosowniejszą porą do przeprowadzenia dezynfekcji w szklarni jest lato. Wtedy bowiem wszelkie rośliny szklarniowe mogą być wystawiane na wolne powietrze, bez szkody dla nich z wyjątkiem delikatniejszych, które mogą być wniesione do mieszkania.

Po usunięciu roślin należy usunąć wszelką ziemię z parapetów, czy mnożarek. Deski parapetowe oraz półki należy wynieść na dwór. Następnie dobrze oczyścić mur w szklarni oraz rusztowanie, niezależnie z czego będzie zrobione, czy z żelaza, czy z drzewa. Do tego celu użyć należy szczotki drucianej albo ryżowej. W trakcie tej pracy drzwi i wentylatory (lufciki) należy pootwierać, by pracujący nie potrzebował wchłaniać masy całe kurzu, powstałe przy tej „operacji". Następnie zamiatamy w szklarni miotłą brzozową, zdejmując przytem wierzchnią warstwę ziemi z przejść, czyli dróżek. Na jej miejsce dajemy warstwę żwiru gruboziarnistego, dobrze przemytego i ubijamy go silnie „babą" czyli ciężkim ręcznym ubijakiem w postaci walca szerszego w podstawie, niż u góry przy rączkach do trzymania. Po wykonaniu tej czynności bielimy wnętrze szklarni mlekiem wapiennem z dodatkiem siarczanu miedzi, czyli sinego kamienia w ilości 1/2 kg na 50 l. cieczy. Daje się również sól kuchenną w ilości 1 — 2 kg na 50 l. cieczy. Powoduje ona to, że wapno nie czepia się potem ubrania robotników, którzy zmuszeni są przy pracy do dotykania się części bielonych. Wszelkie części ruchome z zewnętrznego urządzenia szklarni winny być dobrze oskrobane i wyszorowane ługiem gorącym, czyli wywarem popiołu drzewnego z drzew liściastych. Części te suszymy na słońcu, wnosimy je do szklarni i ustawiamy na swoich miejscach. Wkońcu myjemy szyby szklarni tak wewnątrz, jak i zewnątrz. Dodajemy przytem do wody trochę sody lub ługu. Czystość szyb w szklarni ma szczególniej ogromne znaczenie w zimie, kiedy każdy promień słoneczny jest naprawdę cennym i bardzo pożądanym, a przez brudne szyby mało tych promieni przedostawałoby się do wnętrza szklarni. Ostatnią czynnością będzie wysiarkowanie szklarni. Aby proces ten okazał się naprawdę skutecznym, musi być przeprowadzany w lokalu szczelnie zamkniętym. W tym celu wszelkie możliwe szpary zalepia się papierem. Siarkowanie tak się odbywa: bierze się puszkę blaszaną od konserw lub stare wiadro i wybija się nad dnem dokoła dziury. Na dno naczynia daje się krążek z blachy np. dół od pudełka od pasty do butów, który ma również powybijane w dnie dziury. Krążek ten blaszany ustawiamy na jakiemś rusztowaniu z drutu na środku naczynia, tak jednak, by nie dotykał jego dna. Na krążek ten daje się rozżarzone węgle, a na nie sypie się grubo mieloną siarkę.

Siarka zacznie się żarzyć i wydzielać będzie duszący gaz, zwany dwutlenkiem siarki (3 O_2).

Gaz ten ma właściwości grzybo i owadobójcze.

Gdy zauważymy, że gaz zaczyna się już ulatniać, zaraz winniśmy się wycofać, drzwi za sobą zamknąć i zalepić papierem.

Do wysiarkowania 25 metrów kubicznych szklarni, przeznacza się 30 gramów siarki.

Po 2 — 3 dniach szklarnię można otworzyć, by usunąć z niej resztki kwasu siarkowego, pozostałego w powietrzu, który odbiłby się niekorzystnie na roślinach. Po 2 tygodniach można wnosić rośliny. Uprzednio jednak doniczki należy z wierzchu dobrze obmyć w ługu. Samym roślinom zastosować gorącą kąpiel, czyli zanurzyć je na moment do wody o temp. 50° C. w celu zabicia żerujących nieraz na nich pasorzytów. Po osuszeniu roślin spryskać odporniejsze można 1/2% cieczą bordoską. Polecenia godna jest również zmiana ziemi, przynajmniej w górnych warstwach doniczki, bowiem w ziemi mogłyby się kryć rozmaite zarodniki, czy jajeczka pasorzytnicze, które rozwinęłyby się w szklarni bez przeszkód.

W podobny sposób postępuje się również ze skrzyniami belgijskiemi. W szklarniach, gdzie uprawiane są takie rośliny, jak winorośl, brzoskwinie, róże, etc. Wszystkie czynności odkażające mogą być wykonane procz siarkowania, który to zabieg zniszczyłby bytujące tam rośliny. Szklarnie, skrzynie belgijskie, czy zwykłe inspekty należycie i czysto utrzymane opłacą się zawsze, bo roślinność jest w nich zdrowa i nie narażeni jesteśmy na znaczne straty, spowodowane chorobami roślin, które w szczególniejszy sposób lubią się rzerzyć w szklarniach, mają bowiem po temu optimalne warunki.

Szklarnia czysta, jasna, dobrze utrzymana, daje zaraz inne pojęcie o jej właścicielu, względnie kierowniku. Szklarnie czyste zwiedza się z zachwytem, z entuzjazmem, niemal, a szklarnie zaniedbane, nietylko z niezadowoleniem, ale z bolesnym skurczem serca, jeżeli się pomyśli o roślinach zmuszonych bytować w takich warunkach. Ten sam niemal ból chwyta w kleszcze człowieka na widok takiej szklarni co i na widok chłopskiej, brudnej ciemnej izby, pełnej nędznych gruźliczych, czy rachitycznych dzieciśków, czy izby robotnika w miejskich suterenach, gdzie również wegetują, jak roślinki piwniczne, jego biedne, nędzne, wątłe i blade dzieci.

Irena Rozdębska.



Płodozmian w ogrodzie warzywnym

Obserwującemu ogródki tak wiejskie jak i miejskie rzuca się w oczy przedewszystkiem brak jakiegokolwiek planu w ugrupowaniu poszczególnych roślin, oraz brak płodozmianu, czyli racjonalnego zmianowania roślin.

Najczęściej kierujemy się przy wysiewie warzyw li tylko przypadkowością.

Ci, co wiedzą coś niecoś o płodozmianie nie doceniają jego ważności w ogrodzie, a większość amatorów o płodozmianie nie wie prawie nic.

Przy ciągłej uprawie jednych i tych samych roślin po sobie, następuje ich ciągłe wyradzanie się oraz zaczynają występować masowo choroby i szkodniki, które mogą z roku na rok rozwijać się bez przeszkód.

Szczególniej u kapust to b. wyraźnie występuje. Kapusta uprawiana przez kilka lat na jednym kawałku ziemi karleje i zaczyna chorować na kiłę kapuścianą, spowodowaną grzybkiem Plasmadiophora brassicae.

Choroba ta charakteryzuje się guzowatemi naroślami na korzeniach i głąbiu, słabym przyrostem oraz niezawiązywaniem się główek. Przetrwalniki tego grzybka pozostają w ziemi, a że są b. odporne na wpływy atmosferyczne (mróz), przeto pozostają w ziemi do następnego okresu wegetacyjnego i jeżeli na tym kawałku posadzimy kapustę lub roślinę z nią spokrewnioną, napewno zostaną one zakażone.

To samo odnosi się i do innych roślin, na których rozwijają się choroby najrozmaitsze, bądź natury grzybowej, bądź spowodowane przez szkodniki zwierzęce.

Rośliny niezmianowane odznaczają się słabą odpornością w przechowaniu zimowem i b. łatwo gniją.

By przeciwdziałać inwazji szkodników, musimy koniecznie zastosować płodozmian, który nie jest jeszcze środkiem radykalnym, jednak dużo pomaga przeciw szerzeniu się chorób i szkodników.

W podręcznikach ogrodniczych stosunkowo mało uwagi poświęca się płodozmianowi.

Jeżeli się o nim mówi, to specjalnie się wyróżnia warzywa handlowe, jako zasługujące na rozpowszechnienie. O płodozmianie w ogródku amatorskim prawie nigdzie wzmianek niema.

Rośliny trwałe jak: rabarbar, bulwy, zioła do przypraw, szparagi, i t. p. nie mogą być uwzględniane w płodozmianie, ponieważ te na jednem miejscu mogą pozostawać dobre lat kilka, dlatego muszą mieć w ogrodzie oddzielną kwaterę, a nie mogą być między roślinami jednorocznemi.

Truskawki natomiast mogą być brane pod uwagę w płodozmianie, na jednem miejscu pozostają bowiem 3 — 4 lata.

W płodozmianie warzyw jednorocznych przyjmujemy okres 5-cio letni. Płodozmian taki przyjmujemy dla ogrodu w przybliżeniu o równej powierzchni i o ziemi w kulturze, zawierającej dużo próchnicy.

Ogrody rokrocznie nawożone obornikiem są przenawożone, a nawożone źle przygotowanym kompostem są b. zachwaszczone. Nasiona chwastów mają bowiem tę właściwość, że otoczone twardą, odporną skórką, mogą przetrwać warunki niesprzyjające, a gdy nastanie wiosna, zaraz wschodzą, kwitną, znów wysiewają się i tak w kółko.

Innym powodem okropnego nieraz zachwaszczenia ogródków jest również i to, że b. niedokładnie wykonywane jest pielenie; na grządce np. czysto i starannie się wypiele, podczas gdy bróżdy i pod płotami, czy miedzami pozwala się chwastom rosnąć swobodnie, kwitnąć, owocować i wysiewać się. Przy takiem traktowaniu pielenia nigdy chwastów z ogrodu się nie pozbędziemy.

Dopuszczanie chwastów do owocowania jest karygodnem i tego winniśmy się wystrzegać stanowczo!

Przez ciągle, a bezmierne nawożenie ziemia silnie się zakwasza i stwarza dla roślin środowisko b. nieodpowiednie, dlatego pierwszą czynnością przy rozpoczęciu płodozmianu będzie zwapnowanie ziemi, a zatem odkwaszenie jej.

Wapnowanie uskuteczniamy na jesieni po przekopaniu ziemi w ten sposób, że powierzchnię ziemi posypuje się wapnem niegaszonem równomiernie wszędzie w ilości 20 — 25 kg na ar, czyli 100 m². Po rozsypaniu wapna, ziemię zagrabić lub zabronować.

Nie wolno wapna zakopywać głęboko t. zn. dawać przed orką, czy kopaniem, bo wówczas jego działalność ustaje i nie będzie z tego wapnowania żadnego efektu. Nie wolno dawać wapna jednocześnie z nawozami organicznemi, czy nieorganicznemi, bo zupełnie zepsuje ich skład i nie będą miały znaczenia żadnego, jako nawozy. W wypadku, gdy dajemy wapno na jesieni, nawozić ziemię obornikiem na wiosnę, lecz możliwie dobrze przegnilym czyli rozłożonym.

Wapno oprócz odkwaszania gleby wywołuje cały szereg b. korzystnych procesów w ziemi, drogą pośrednią, a więc: pobudza życie drobnoustrojów, które skolei pomagają rozkładowi nawozów na pierwiastki przyswajalne dla roślin, powoduje zwiększenie zasobności ziemi w składniki azotowe, czyli powoduje proces t. zw. nitryfikacji. Poprawia również strukturę ziemi, robi ją gruzełkowatą, a zatem b. korzystną dla procesów czysto fizycznych jak: przepuszczalność, podsiąkanie, przewietrzanie, ciepłochłonność e. t. c.

Ziemia w warzywniku musi być zwapnowana zatem na całej powierzchni, dopiero na tak poprawionej glebie możemy rozpocząć racjonalny płodozmian.

Następne wapnowanie uskuteczniamy po 5-ciu latach, przyczem procesowi temu poddamy tylko 1/5 część ogrodu.

Powierzchnię ogrodu przeznaczonego pod uprawę warzyw jednorocznych, podzielimy zatem na 5 części i odpowiednio do tego podzielimy warzywa na następujące grupy:

1) Motylkowate: groch, fasola, bób, soja i t. p.

2) Kapustne: kapusta biała, włoska, czerwona, kalafiory, kalarepy oraz selery i pory.

3) Pomidory, ogórki, papryka, czyli pieprz turecki i kukurydza. Rzodkiewki, rzodkwie, szpinak, kalarepa, karotka, sałaty jako przedplony.

4) Cebulowe: cebula, czosnek; i korzeniowe: buraki, marchew, pietruszka, cykorja, pasternak oraz mak i koper.

5) To samo co i w czwartym roku, tylko poprzestawiać rośliny; tam gdzie były oleiste (mak, koper) dać korzeniowe (marchew, pietruszkę i t. p.)

d. c. n.

Irena Rozdębska.

REPORTAŻ SPECJALNY Z BERLINA

W szklanej kabinie zawieszonej wysoko ponad żelbetonami głównego stadjonu olimpijskiego — zabłysło trzykrotnie światełko. To był start. W dniu 30 lipca rozpoczęły się zatem specjalne audycje sportowe Polskiego Radja — z Berlina.

Nigdy jeszcze w życiu nikt z nas nie przemawiał z podobnie urządzonego studja. Z wysokości kilkudziesięciu metrów patrzyliśmy się poprzez szklaną taflę szyby na przedziwną scenę, jaką tworzył stadjon olimpijski. Amfiteatralnie zbudowany stadjon wypełniony był publicznością. Na dole, na zielonym materacu boiska, otoczonego czerwienią bieżni i skoczni, chorążowie na komendę pochylali różnokolorowe sztandary, to znów miotali drzewcami, tworząc z płacht proporców migające w świetle reflektorów koliska.

Kabina R/3, którą na czas Olimpjady objęła w posiadanie ekspedycja Polskiego Radja — świetnie nadaje się do transmisji, natomiast znacznie gorsza jest jako studjo. Kapitalną nowością, jaką zastosowali Niemcy w urządzaniu tych kabin sprawozdawczych są mikrofony, umieszczone na długiej rurce metalowej i zawieszone na jakby skórzanych szelkach, które ubiera sprawozdawca. Daje to wielką korzyść w tem, iż reporter może się obracać na wszystkie strony, nie obawiając się, że jego głos raz będzie brzmiał ciszej, to znów głośniej, tak, jak to ma zazwyczaj miejsce przy zwykłych mikrofonach. Pozatem w każdej kabinie znajduje się cały aparat sygnalizacyjny do amplifikatorni, pozwalający podawać komendę o konieczności przełączania tych czy innych mikrofonów, umieszczonych w rozmaitych punktach na stadjonie.

Kilkudziesięciu reporterów radjowych wszystkich niemal narodowości rozgościło się w tych kabinach „Rundfunku" na stadjonie olimpijskim. Kablami, bądź stacjami krótkofalowemi będą przekazywane ich słowa ku dalekim, rozsianym niemal po całym świecie radjostacjom, aby zawędrować ku głośnikom i słuchawkom radjosłuchaczy. Radjo-reporterzy objeżdżają wszystkie boiska, oglądają stanowiska, patrzą, gadają, notują. Wydaje się, sądząc z ich min, że Olimpjada nie mogłaby się odbyć bez ich uczestnictwa.

Reporterzy radjowi, podobnie zresztą jak dziennikarze, mieli ciężką służbę podczas gorących dni olimpijskich. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę z olbrzymich przestrzeni Berlina, na których rozrzucone są rozmaite tereny sportowe. Sam główny stadjon, zwany „polem sportowem Rzeszy", leży o jakieś 15 kilometrów od centrum miasta. Niezgorszy też kawałek drogi jest do Grünau, gdzie wytyczono tory dla zawodów wioślarskich i kajakowych. „Post-Stadjon", leżący w dzielnicy Moabit był terenem zmagań piłkarzy, a Deutschland-Halle miejscem spotkań szermierzy, bokserów, zapaśników, i gimnastyków. Ostatnim wreszcie jest Avus, słynny tor wyścigów samochodowych, gdzie odbędzie się finał maratonu, i wyścigów kolarskich.

„Reichs-Rundfunk" wybudował specjalnie na czas Olimpjady baraki tuż obok głównego swego gmachu, umieszczając tam sztab wszystkich poczynań radjowych ekip olimpijskich. Zmobilizowano kilkadziesiąt samochodów ze wszystkich radjostacyj niemieckich, dając w ten sposób możność poszczególnym reporterom szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce. Pozatem po mieście, czy „Oly-Dorf" (skrót nazwy wioski olimpijskiej) krążą nieustannie wozy transmisyjne, nagrywając na płyty rozmaite audycje, przeznaczone zarówno dla rozgłośni niemieckich jak i dla zagranicznych.

Dopiero tu w Berlinie, możemy zdać sobie sprawę, z tej wagi, jaką się przykłada do radjofonji na Zachodzie. Niedarmo zresztą minister propagandy dr. Goebbels, przemawiając na bankiecie dla prasy zagranicznej, sprawozdawców radjowych i rozmaitych „officielów", przy omawianiu współczesnych środków informacji, zastosował następującą kolejność: Radjo, Prasa, Film.

POLSKIE RADJO W NOC ALARMU GAZOWEGO PRACOWAŁO, JAKO SŁUŻBA ŁĄCZNOŚCI

Rozgłośnia Warszawska, jak w poprzednich latach, stanęła w potrzebie obrony mieszkańców stolicy przed atakiem lotniczym. Wprawdzie w tym roku ćwiczenie ataku i obrony ograniczono do próby nocnego maskowania świateł na ulicach i w domach bez pozorowania ataku lotniczego z rzucaniem bomb i obrony i ochrony przeciwko ich skutkom, ale i tym razem powołano do akcji rozgłośnię Polskiego Radja.

Radjostacja Warszawska ostrzegła swemi sygnałami: O.P.L. — gasić światła! przed zbliżającem się niebezpieczeństwem ataku. Jednocześnie sygnał ten był umówioną komendą dla fabryk, parowozów, parostatków i t. p., które przy pomocy syren dały sygnał alarmowy, trwający 2 minuty. Skolei ten sygnał był zawiadomieniem dla całej ludności stolicy, że należy natychmiast gasić lub szczelnie maskować światła na ulicach, w lokalach publicznych i mieszkaniach prywatnych, przysłaniać niebieską osłoną lampy i reflektory pojazdów i t. p.

Pozatem Rozgłośnia Warszawska, jak w latach poprzednich przygotowała się do nadawania reportaży - meldunków z miasta o sytuacji na ulicach, w lokalach publicznych i domach prywatnych i sprawności obywateli w maskowaniu obronnem świateł.

W próbie z 31 lipca r. b. organizowanej przez władze administracyjne, jako stronę prowadzącą „obronę" ludności i L.O.P.P., jako stronę „atakującą", obsługa radjofoniczna Polskiego Radja stanowiła stwierdzony już praktyką, ważny aparat komunikacyjny, w większości wypadków — jedyny.

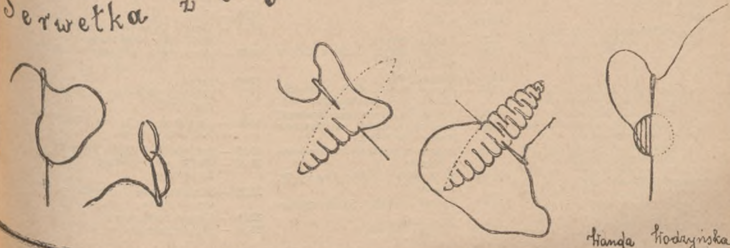
W obwieszczeniu do ludności Warszawy, podpisanem przez komisarza Rządu p. Wł. Jaroszewicza, jest wskazanie, że w czasie redukcji oświetlenia, na sygnał nadany przez Rozgłośnię Warszawską Polskiego Radja, jak powyżej, oraz dźwiękowe sygnały alarmu — wycie syren — należy oświetlenie zewnętrzne całkowicie wygasić. W punkcie drugim obwieszczenia podano szczegółowe instrukcje, jak zachować się po sygnale alarmowym Polskiego Radja.

Obie strony: atak i obrona wskazywały na wielkie znaczenie współdziałania z niemi Rozgłośni Warszawskiej, nietylko, jeżeli chodzi o sygnał alarmowy dla wszystkich, ale, co również podkreślano jako bardzo ważne, nadawaniu komunikatów o przebiegu próby, o wypadkach niezgaszenia świateł lub niedostatecznego ich zamaskowania w poszczególnych domach warszawskich, nawet z wymienianiem dokładnego adresu.

Tyle w samej Warszawie. Jeszcze większe bodaj usługi oddała Rozgłośnia Warszawska organizacji alarmu lotniczego w województwie warszawskiem, gdzie komitet wojewódzki L.O.P.P. zorganizował tej samej nocy próbę skombinowaną: maskowania świateł i ataku lotniczego i gazowego. Sygnały i komunikaty rozgłośni Polskiego Radja były tu niezmiernie pomocne.

Serwetka z organdyny haftowana włóczką.

Ściegi:



Wanda Włodzyńska

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani Marji Ch.

Nie, Szanowna Pani, syrop kartoflany nie jest żadną nowością, w czasie wojny używany był powszechnie do konfitur, okazał się przytem wydajny, przetwory się nie psuły, jakkolwiek nie używało się wtedy żadnych środków konserwujących, owoce odznaczały się pięknym wyglądem, a w smaku nie czuło się zupełnie różnicy z konfiturami w cukrze. Zresztą już przed wojną w Niemczech większość tanich marmelad przygotowana była na syropie kartoflanym. Obowiązkiem fabrykanta było jednak na etykiecie napisać wyraźnie, że produkt przygotowany jest na takim właśnie syropie, nie dlatego żeby miał być szkodliwy, ale inne są jego wartości odżywcze, a przedewszystkiem inna cena, wobec czego słuszne było, aby kupujący wiedział, co nabywa i za co płaci. Od dawien dawna w przemyśle piernikarskim zastępowano drogi miód w fabrykacji tańszych gatunków pierników syropem kartoflanym. W czasie wojny używaliśmy go zamiast cukru do rozmaitego użytku i dostać go można było wszędzie. Miał tę właściwość, że w herbacie czerniał nabierając znanego gospodyniom odcieniu sinego, jaki widujemy, jeżeli obranego kartofla nie pogrążymy w wodzie zostawiając go na powietrzu. Z uwagi na gęstość syropu, który owocom w nim pływającym nadawał piękny połysk, byłabym go chętnie w niektórych rzeczach stosowała i nadal, zwlaszcza w połączeniu z cukrem, do czego się doskonale nadaje, niestety, z chwilą, kiedy o cukier było znów łatwo, trudno było syrop kupić w małych ilościach. Zabrakło go w sklepach, można zaś było kupić na beczki, co w małem gospodarstwie wykluczało go całkowicie z użycia. W dawnym zaborze niemieckim słyszy się i teraz o nim, może go pani używać zupełnie bez obawy. Przypuszczam, że owoce smażone w cukierniach, jakie widujemy w oknach zamknięte w pięknych słoikach, pełne, gęste, a nie scukrowane nawet po długiem staniu, są po większej części smażone z syropem kartoflanym. W skromniejszych gospodarstwach można na nim piec doskonale pierniki, kto jednak nie chce się wyrzec miodu, tak ze względów zdrowotnych (miód jest bowiem cudownym środkiem leczniczo-odżywczym) jak i ze względu na swoisty miły zapach, może go wziąć pół na pół.

Jeżeli Szanowna Pani będzie potrzebowała, podamy chętnie kilka zasadniczych przepisów.

* * *

Pani, upominająca się o fotografję Luci Cieślakówny proszona jest o łaskawe podanie adresu, którego niema ani w liście, ani na kopercie, wobec czego narazie nie możemy wysłać pocztówki.

Pani A. W.

Postaramy się o artykuł o wyprawie skórek króliczych w możliwie najszybszym czasie.

Pani Nina O.

Firanki i kapy można zrobić i z tiulu i z markizety, trzeba się z tem liczyć, że pod kapy tiulowe trzeba dać ładne spody, pod markizetę lub etaminę już mniej ładne jako gatunek, bo nie tak prześwieca.

Następnie trzeba się z tem liczyć, że markizeta się bardzo zbiega, trzeba ją przed robotą dobrze w gorącej wodzie zamoczyć i wilgotną uprasować, a i tak później się trochę zbiegnie. Haftować na markizecie jest dość ciężko, bo się nitki usuwają. Co się tyczy trwałości, czy tiul czy markizeta, to na jedno wyjdzie, obie rzeczy są trwałe i ładne. Jeżeli mieszkanie ciemnawe, wolałabym tiul. Tiul ma tę właściwość, że się wyciąga, firanki się robią w użyciu nieco dłuższe, a za to się zwężają. Dlatego tiul łączony z koronką niedobrze się prasuje, trzeba go mozolnie rozpinać. Najlepiej zrobić firanki i kapy z tiulu z falbanami, poszyć zaś na nich albo punkty, ale te już wychodzą z mody albo kwiatki w tej barwie, co tiul albo blado żółte, seledynowe, niebieskie w bardzo delikatnych barwach.

Do reszty życzeń postaram się zastosować.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie od dn. 23.VIII.—29.VIII.36 r.

NIEDZIELA 23.VIII.

8.00 — Audycja poranna
9.00 — Transmisja nabożeństwa z Torunia
12.03 — Poranek muzyczny ze Lwowa
14.30 — Audycja dla wsi
15.55 — Muzyka salonowa
16.30 — Reportaż z życia
17.00 — Audycja ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie
21.30 — Koncert rozrywkowy z Poznania
23.00 — Muzyka taneczna

PONEDZIAŁEK 24.VIII.

6.30 — Audycja poranna
12.23 — Mascagni-Leoncavallo (płyty)
16.00 — Koncert
16.45 — „O grzybach jadalnych i trujących" — pogadanka
17.00 — Audycja karaimska z Wilna
17.25 — „Skrzypce i fortepian — instrumentami jazzowemi" (płyty)
17.50 — „Odpoczynek zorganizowany" — pogadanka
19.00 — Audycja strzelecka
19.30 — Koncert ze studja na Wystawie radjowej w W-wie
22.00 — Koncert rozrywkowy z Wilna
23.00 — Muzyka taneczna

WTOREK 25.VIII.

6.30 — Audycja poranna
12.23 — Koncert
16.00 — Barytony i basy (płyty)
16.45 — „Jan Sobieski" — odczyt
17.50 — „Bogactwo życia w korze drzew"— felieton
18.00 — „Tajemnica kajetu tanisława Brzozowskiego" — szkic literacki
19.00 — Audycja ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie
21.30 — Ukraińskie pieśni ludowe w wyk. Marji Sokół (śpiew)
22.15 — Muzyka taneczna

ŚRODA 26.VIII.

6.30 — Audycja poranna
12.23 — Koncert muzyki lekkiej z Basenu w Ciechocinku
16.15 — Muzyka lekka
17.00 — Koncert w wyk. Zofji Doret (Sopran) i E. Wojakowskiego (flet)
17.50 — „Anegdoty z życia Jana Reszkego"
19.00 — Koncert ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie
19.25 — Koncert rozrywkowy — transmisja z Wiednia
21.15 — VI Audycja z cyklu „Utwory Fr. Chopina"
22.00 — Koncert z cyklu „Słynne symfonje"
23.00 — Muzyka taneczna

CZWARTEK 27.VIII.

6.30 — Audycja poranna
12.23 — Koncert południowy w wyk. orkiestry Tadeusza Seredyńskiego
16.00 — Koncert popularny
16.45 — „Rola społeczna K.O.P.'u" — odczyt
17.00 — Recital fortepianowy Edwardy Feinsteinówny
17.30 — Walce koncertowe (płyty)
17.50 — „Szczur lądowy nad morzem" — feljeton
19.00 — Teatr Wyobraźni: „Plotka", wesoła sielanka radjowa
19.30 — „Perpetum mobile" — koncert
21.00 — „Nasze pieśni"
21.30 — Recital organowy Feliksa Nowowiejskiego
22.15 — „Mozaika muzyczna" (płyty, własne nagranie P. R.)
23.00 — Muzyka taneczna

PIĄTEK 28.VIII.

6.30 — Audycja poranna
12.23 — Koncert z udziałem Fritza Kreislera (płyty)
16.00 — „Głosy przyrody" — koncert
16.45 — Reportaż z Polesia: „Gospodarka rybna"
17.00 — Koncert solistów
19.00 — Wiązanka melodyj filmowych
21.00 — Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej
22.15 — Muzyka taneczna

SOBOTA 29.VIII.

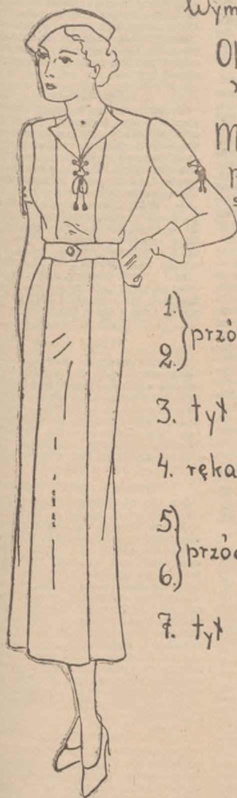
6.30 — Audycja poranna
12.23 — Trio Polskiego Radja
14.30 — Koncert muzyki rozrywkowej
15.40 — Wiadomości gospodarcze
15.45 — „Zabawa w koncert" — audycja dla dzieci
16.00 — Utwory na fortepian
16.30 — Koncert Chóru Kolejowego Przysposobienia Wojskowego
16.45 — „Parę godzin w Rydze" — reportaż
17.00 — Koncert
17.50 — „Kościoły drewniane na Śląsku"— pogadanka
19.00 — Koncert ze studja na Wystawie Radjowej w W-wie
20.15 — Audycja dla Polaków zagranicą
21.00 — Recital wiolonczelowy Tadeusza Kowalskiego
21.30 — „Czepiec, gąśle i podwika" — audycja z Wilna
22.15 — Koncert rozrywkowy
23.30 — Muzyka taneczna

Objaśnienie do tablicy kroju. Praktyczna Pani №34.

Wymiary sukni na tablicy kroju:

Obw. gorsu: 48 cm.
" bioder: 53 cm.

Materjału na suknię potrzeba: 3 m.
szerokości: 80 cm.



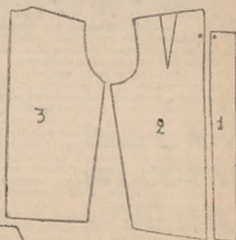
1.
2. } przód stanika

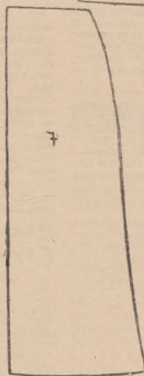
3. tył stanika

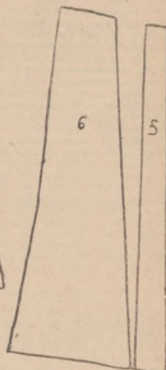
4. rękaw

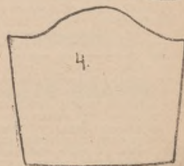
5.
6. } przód spódnicy

7. tył spódnicy.









PRZEPISY KULINARNE



Pektyna do galaret.

Od pewnego czasu słyszy się sporo o pektynie, zwanej zależnie od firmy, która ją wyrabia i sprzedaje Opektą lub t. p. W Anglji pektyna w płynie lub proszku stosowana jest już od lat kilku i polecana przez angielski Instytut Gospodarstwa Domowego.

Nie wdając się w żadne naukowe wywody, stwierdzimy tylko pokrótce, czem jest pektyna, a raczej ciała pektynowe w naszem gospodarstwie. Ciała pektynowe są nader rozpowszechnione w świecie roślinnym, one to sprawiają, że sok niektórych owoców łatwo galaretowacieje. Ponieważ takie tworzenie się galarety bywa często specjalnie pożądane, stosujemy obecnie pektynę, wydobywaną z niektórych owoców jako dodatek do soków, które same przez się nie galaretowacieją.

Wszystkie gospodynie wiedzą, że aby otrzymać krzepką zimową galaretkę, trzeba dać do niej dużo cukru i gotować sok tak długo, aż się połowa objętości wygotuje. Użycie pektyny pozwala gotować sok krótko, tyle tylko, aby otrzymać pożądany smak, zsiądzie się ona i tak, nie tracąc nic na objętości.

W ten sposób oszczędzamy ognia, pracy i nie tracimy na wadze przetworu. Zastosowanie pektyny ma jeszcze tę korzyść, że przy jej pomocy możemy poddać zgalareceniu soki i przeparaty, które inaczej nigdyby się nie zmieniły w galaretę. W jednym z numerów angielskiego organu Instytutu Gospodarstwa Domowego podane są przepisy na galaretkę miętową, cynamonową, miodową i t. p. Galaretę taką można przygotować dosłownie w 10 minut.

Dotychczas kupna pektyna jest jeszcze droga, jeśli jednak obliczyć ile zyskujemy na objętości galarety, cukrze, którego dla zgalaretowania trzeba użyć dużo, oraz ognia, w rezultacie koszt nie będzie wielki. Możemy zresztą zrobić sobie pektynę w domu, z odpadków jabłek albo skórek cytrynowych. W znakomitej książce p. Zofji Czerny p. t. „Przyrządzanie Potraw" znajdujemy aż trzy przepisy na pektynę, które dzięki wielkiej uprzejmości autorki mogę dzisiaj czytelniczkom powtórzyć.

Pektyna cytrynowa.

Ażeby otrzymać 50 dk białej skórki cytrynowej należy wziąć cytryny o grubej skórce, wierzchnią żółtą cieniutko ściąć z wierzchu, białą zaś ściągnąć z owocu bez uszkodzenia miąższu.

Rozpuścić 3 łyżki stołowe winianu potasu (czemor Tartari) w 2 litrach wody, białą skórkę cytryny pociąć nożyczkami cieniutko, włożyć do kamiennego naczynia, zalać przygotowanym roztworem, dać stać 2 godziny. Naznaczyć na patyczku poziom płynu, gotować na silnym ogniu, aż płynu będzie mniej niżli połowa. Wlać wszystko razem do worka, odcisnąć naciskając drewniana łyżką. W nowych dwóch litrach wody rozpuścić winianu potasu nowe trzy łyżki, przełożyć do niego wyciśniętą masę, zmierzyć poziom na patyczku, gotować na silnym ogniu, aż będzie mniej niż połowa. Zlać do płóciennego worka, odcisnąć jak poprzednio. Trzeci raz wziąć 2½ litra wody, 3 łyżki winianu, wymieszać, dodać odciśniętą masę, mierzyć i gotować jak poprzednio. Wszystkie trzy płyny wraz z białym osadem zlać razem, zagotować na bardzo silnym ogniu, gorący nalać do suchych, wygrzanych flaszek, zakorkować i sterylizować 30 minut. W małych słoikach nawet minut 20.

Pektyna z suszonej skórki cytrynowej

Z używanych w gospodarstwie cytryn można zbierać sobie białą skórkę w sposób opisany wyżej, po zdjęciu, ułożyć na sicie płótno i ususzyć skórkę na przewiewie, nie ogrzewając zupełnie. Cienka warstwa ususzy się prędko. Przechowywać w woreczku w suchem miejscu.

Gotuje się tak, jak poprzednią, trzykrotnie, za każdym razem biorąc 2½ litra wody i 3 łyżki cremor Tartari.

Suszonej skórki 12 dk włożyć do roztworu wody z winianem, przygotowanego w kamiennym rondlu, pozostawić na 5 godz. Następnie zaznaczyć poziom i wygotować na silnym ogniu (chodzi zawsze o to, aby parowało szybko) do mniej niż połowy. Powtórzyć ten zabieg jak w poprzedniej pektynie ze świeżej skórki trzy razy, następnie razem zmieszać, uważając aby zabrać i biały osad, zagotować szybko, przelewać w przygotowane naczynia, sterylizować.

Pektyna z jabłek.

W czasie, kiedy mamy opadłego owocu dużo, możemy ją przyrządzić bardzo tanio. Jabłka umyć, pokrajać drobno, włożyć do 2 i 1/4 litra wody, gotować pod przykryciem na silnym ogniu minut 20. Zlać wszystko do worka, drewnianą łyżką wyciskać. To samo powtórzyć drugi raz, odciśnięte oba płyny razem zmieszać i wlać w naczynie tak szerokie, aby warstwa płynu miała 10 cm. Gotować na bardzo silnym ogniu, dopóki ilość płynu nie zostanie odparowana tak, że będzie go 2½ cm. t. j. około 40 minut. Nie gotować zadługo, bo się pektyna rozłoży. Gorący płyn rozlać w naczynia i sterylizować w temperaturze 98 C. minut 20.

Proporcja użytej do galarety pektyny musi być każdorazowo wypróbowana. Bierzemy w tym celu część soku, przeznaczonego na galaretę, np. pół szklanki zaprawiamy łyżką czy dwoma pektyny, odstawiamy na dwanaście godzin i sprawdzamy czy stanęła. O ile nie stanie dodajemy pektyny w zależności od tego czy jest zupełnie płynna czy tylko nieco zarzadka, trochę albo drugie tyle. Postępujemy tak dlatego, że ilość ciał pektynowych w pektynie może być różna w zależności od tego, ile ich było w owocu, użytym na preparat, oraz od ilości zawartej w soku przeznaczonym na galaretę.

Stanowczo jednak trzeba przyznać, że zwłaszcza pektyna przygotowana z odpadków lub tanich jabłek w gospodarstwie się opłaca.

Winian potasu. (Czemor tartari).

Znajduje się w wielu roślinach i owocach, zwłaszcza zaś w winogronach. Na beczkach z winem osiada w postaci białego lub czerwonego osadu, w zależności od koloru wina. W bardzo dużych dozach może być trujący, w niewielkich bywa stosowany jako lekki środek czyszczący, jako dodatek do proszków uśmierzających i proszków do zębów, pozatem także w przemyśle farbiarskim i t. p.

Gruszki w occie.

Do marynat i na kompoty najlepsze są gruszki t. zw. bergamoty jesienne, cokolwiek niedojrzałe. Większe gruszki po obraniu cieniutko dzielimy na ćwiartki, mniejsze na połowy, wyjmując starannie pestki z całem otoczeniem. W trakcie obierania należy owoce kłaść do wody zakwaszonej kawałkiem kwasku cytrynowego, żeby nie czerniały. Na klg. gruszek wziąć pół litra dobrego winnego octu, zagotować z dodatkiem 30 — 40 dk cukru, 5 gwoździkami, kawałkiem cynamonu wielkości palca. W tym occie obgotować gruszki przez 10 minut, zlać do wazy, zostawić na 24 godziny. Nazajutrz gruszki odcedzić, ułożyć w słój, ocet przegotować, zalać ciepłym owoce, ostudzić, zawiązać. Jeżeli bierzemy ocet słaby, dodamy na 1 litr pastylkę benzoesu, mocny ocet ma sam dosyć siły konserwującej.

Węgierki w occie.

Kilogram pięknych śliwek już ciemnych ale jeszcze twardych obetrzeć z barwy i położyć w wazie. Przegotować pół litra octu dobrego winnego z dodatkiem według upodobania cukru 30 — 40 dk, 5 gwoździków, kawałka cynamonu jak do gruszek i kipiącym zalać śliwki w wazie. Pozostawić na 24 godz. Nazajutrz ocet zlać i powtórnie przegotować, zalać niebardzo gorącym śliwki po wystygnięciu obwiązać.

Konfitura z rajskich jabłuszek.

Dojrzałe ale jędrne jabłuszka, bez plam i robaków umyć, obciąć im korzonki, pozostawiając kawałek na centimetr długi, nakłuć kilka razy cieniutkiem drewienkiem, włożyć do rondla, zalać zimną wodą powoli zagotować, uważając aby od silnego wrzenia nie popękały. Odlać na sito, przelać wodą zimną, dać osiąknąć. Na kilogram owocu zrobić syrop z 1 kg cukru i 2 szklanek wody, zszumować, ostudzić, zalać ułożone na misce jabłuszka. Na drugi dzień zcedzić syrop z jabłek, dodać 1/4 kg cukru, zagotować, zszumować, zalać jabłka ani zimnym ani gorącym. Na trzeci dzień znów zlać syrop, dodać 1/4 kg cukru, sok z pół cytryny wyciśnięty przez muślin i nieco cytrynowej skórki, otartej z samego wierzchu. W gorący syrop włożyć jabłuszka i smażyć minut 5 — 6.

Borówki na słodko z gruszkami.

Dwa kilogramy gruszek jak na marynaty lub kompot, t. j. niezupełnie dojrzałych obrać ze skórki, uwolnić z kamienistego środka obgotować w wodzie 10 minut. 4 kilogramy borówek starannie przebrać z liści nadgniłych jagód i niedojrzałego drobiazgu, sparzyć gorącą wodą, odsączyć. Zrobić syrop z 4 kg cukru i 5 szklanek wody, z dodatkiem 10 gwoździków i kawałka cynamonu, podsmażyć szumując aby syrop nabrał zapachu, wyjąć korzenie a wsypać przygotowane borówki. Smażyć minut 10, dołożyć gruszki i smażyć drugie 10 min. Jeszcze dobrze ciepłe złożyć w słoje, to ładnie pod wierzchu zgalaracieją.

Nasza skrzynka

Nasza Janka.

Urodziła się dn. 3 lutego b. r. Miała 3 kg wagi, a 48 cm wzrostu. Wygląd miała zdrowy. Odrazu nie brała piersi, natomiast na drugi dzień chętnie piła mleko i herbatę. Więc postanowiliśmy karmić bez piersi matki. Już w drugim miesiącu dawaliśmy przeważnie mleko świeże surowe. W trzecim miesiącu zaczęliśmy dokarmiać kaszką i bułkami, a czasami i chleba razowego. W czwartym miesiącu już zaczęła jeść jajka na miękko i zauważyliśmy, iż bardzo lubi i bardzo dodatnio jajka wpływają na rozwój. Natomiast gdy zaczęliśmy karmić jajkami, bardzo mało piła mleka, a chętnie piła wodę surową z sokiem owocowym. W szóstym miesiącu bardzo chętnie jadła jagody surowe szczególnie maliny. Teraz już prawie wszystko je co jedzą dorośli za wyjątkiem mięsa. Dziennie potrafi zjeść cztery jajka, codziennie dajemy kilka razy surowej wody. Prócz jajek czasami dajemy: bułkę ze śmietaną, bliny kartoflane, obwarzanki, ogórki surowe, ser i jajka na maśle. Rozwija się bardzo dobrze. W trzecim miesiącu już siedziała, a teraz już stoi oparta. Waży 8 kg, a wzrost 62 cm.

Nocami śpi spokojnie, natomiast we dnie lubi by ją nosić po podwórzu. Jest bardzo wesoła i lubi bawić się. Na żołądeczek od 3 miesięcy zupełnie jest zdrowa. Cerę ma zupełnie zdrową.

Kończę tych kilka uwag. Pisząc starałem się być zupełnie prawdziwym i objektywnym. Niezmiernie będę zadowolony, jeśli mój artykulik przyczyni się do dyskusji, a może któraś z czytelniczek podzieli się swojemi spostrzeżeniami o wychowaniu swego dziecka. Sądzę, iż wychowanie naszej Janki nie może być wzorowe, a nawet dużo pań nazwie zacofanem lub zaniedbanem, jednak jest prawdziwe i naturalne.

Kras.

List a raczej artykulik dyskusyjny p. Kras. zamieszczamy z uwagi, że wykazanie błędów opisanego w nim żywienia może być z korzyścią dla niejednej matki. Niezawsze wystarczy powiedzieć jak należy dziecko żywić, aby zostać wysłuchanym i zrozumianym, łatwiej to wyjaśnić na przykładzie, jaki w danym razie stanowić będzie żywienie małej Janki. Jest to bezwarunkowo żywienie błędne, jeśli niedało złych rezultatów, to dzięki wyjątkowej organizacji maleństwa, wcześniej czy później jednak mogą się okazać nawet u tak silnej dziewczynki złe skutki takich eksperymentów. List p. K. oddaliśmy naszemu lekarzowi, pani J. E., która na niego wyczerpująco odpowie. Znaczna śmiertelność wśród dzieci, zwłaszcza wśród warstw mało uświadomionych jest właśnie spowodowana, między innemi, niestosownem pożywieniem.

Szanowna Redakcji!

Przeglądając tygodnik „Praktycznej Pani", Nr. 30, a szczególniej „naszą skrzynkę", przeczytałam, że Pani Bożenna prosi o lekarstwo na artretyzm, znając wprost cudowne skutki nalewki na czosnek, współczuję Pani Bożennie i szczerzę życzę sprobować.

Na 1/4 litra spirytusu 90%, włożyć tyle grubo pokrajanego czosnku, żeby spirytus objął zupełnie i taką nalewkę postawić na dwa tygodnie w temperaturze pokojowej. Jak naciągnie, przystąpić do kuracji i tak pierwszego dnia przyjmuje się *jedną kroplę*, można w wodzie przegotowanej, na drugi dzień dwie krople, na trzeci, trzy krople i t. d. aż dojdzie do trzydziestu kropli dziennie, i od tych trzydziestu trzeba odejmować po jednej kropli dziennie, aż się zejdzie na jedną kroplę, w razie gdyby pozostały jeszcze jakie niedomagania, można tę kurację powtórzyć.

„Podlasiak".
H. S.

Szanowny Panie!

Czytając list Pański, zamieszczony w „Prakt. Pani" ,Nr. 32 z prośbą do czytelniczek o wskazanie odpowiedniego internatu, lub zakładu dla swej córeczki.

Jeśli rzeczywiście Szan. Pan pragnie by dziecko Jego znalazło dom, w którym otoczonoby je troskliwie i serdecznie, to z całą pewnością i w żadnym razie nie można liczyć na internaty, gdzie przebywa duża ilość wychowanek różnego typu i wychowania. Takie dziecko będzie się zawsze czuć obco, źle i cel, do którego Pan dąży, trudno będzie osiągnąć.

Pisze Szan. Pan, że córka jest mało rozwinięta, kapryśna, nerwowa i zaniedbana. Otóż właśnie, takie dziecko potrzebuje największego spokoju, serdecznej, troskliwej opieki, której właśnie brak jest w internatach, ze względu na ilość dzieci — trzeba wyłącznie zająć się takiem dzieckiem, by mogło przyjść do równowagi, z której zostało wytrącone przez tragiczne współżycie rodziców.

Jestem zdania, że najlepiej byłoby dla dziecka przy jakiejś inteligentnej rodzinie, gdzieby mogła czuć się dobrze, a wówczas polepszyłby się stan ogólny. Jeśli Szan. Pan weźmie pod uwagę moją radę, może ja podjęłabym się wychowania Pańskiej córeczki. Jestem wdową po nauczycielu, wiek średni, łagodnego usposobienia, wyrozumiała. Utrzymuje się z emerytury, a także mam córkę, która pracuje w charakterze kasjerki, więc powodzi nam się dobrze — druga moja córka jest także w 4-tym odz., wieku 11 l., byłaby bardzo zadowolona, gdyby miała towarzyszkę.

Mieszkanie moje składa się 2 pokoi, kuchni i przedpokoju, tak, że miejsca mamy dosyć. Dom prowadzę spokojny, bez towarzystwa, lecz kulturalnie.

Szanowny Pan wybaczy, że piszę tak bezpośrednio, ponieważ zdaje się, że zależy także na czasie, gdyż wakacje kończą się.

J. J.

P. S. Adresu swego narazie nie podaję, gdyż nie wiem czy będzie potrzebny. Jeśli tak, to mogę na żądanie Sz. Pana wysłać do Redakcji.

* * *

Potrzebna mi jest panienka do dziecka 7 letniego, które trzeba odwozić codziennie do Warszawy do szkoły i przywozić do domu. W domu zająć się całkowicie dzieckiem (dziewczynka).

Pragnęłabym również abym w niektórych czynnościach gospodarczych mogła mieć zastępczynię.

Mieszkamy pod Warszawą (st. kolejowa, 18 minut pociągiem) ,dom 7 pokojowy, osób dorosłych 3 i dziecko, służąca. Jestem chora (kamica wątrobiana), więc potrzebna mi jest osoba cierpliwa i uczciwa, której ze spokojem i pełnym zaufaniem możnaby powierzyć dziecko. Wzamian za powyższe czynności dałabym 20 — 25 zł. miesięcznie, pokój razem z dzieckiem i pełne utrzymanie.

Gorąco polecam swą prośbę, może która z Pań czytelniczek zna taką osobę, to bardzo będę wdzięczną za pomoc.

I. Z.

Drogie Panie!

Potrzebuję pracownicy, ale pracownicy—człowieka, która rozumie swe obowiązki i z należnem poczuciem je wykonywa. Miałam już pracownice. Doprawdy typowe, godne lepszego pióra, niż moje. Może jednak tą drogą trafię do tej, która chce i będzie umiała pracować. Po ludzku i po Bożemu. Bo

wymagam tylko należytego wykonywania pracy i tych zalet, które każdy człowiek powinien posiadać. Odrobinę życzliwości i dbałości o interes. Streszczam się. Potrzebna mi jest zwykła, szara pracownica o skromnych wymaganiach do prowadzenia kiosku, a więc: utrzymanie czystości, miła i akuratna obsługa klijentów, sprzedaż i sprowadzanie towaru, prowadzenie prostych rachunków (nie tych buchalteryjnych, broń Boże). Więc, która z was chce mnie wybawić z kłopotu niech się zwróci za pośrednictwem Redakcji do

Łęczycanki.

Szanowne Panie!

Czytając różne oferty w „Naszej skrzynce", które są w miarę możności różnie uwzględniane, a mając iskrę nadziei, zamieszczam moją prośbę. Jestem sierotą, mieszkam obecnie przy rodzinie, lecz na skutek pogorszenia się warunków materjalnych zmuszona jestem usamodzielnić się. Mam lat 24, kwalifikacje posiadam następujące: 7 kl. szk. pow., 9-cio miesięczny kurs gospodarstwa domowego, szkoła mlecz. - serow. i takowe praktyki. Pozatem znam kuchnię, szycie, cerowanie, robótki i t. p. Mogę zająć się samodzielnem prowadzeniem mleczarni dworskiej lub spółdzielni, zarazem mieć nadzór nad gospodarstwem kluczykowym i podwórzowym, oborą i chlewnią, lub tylko prowadzeniem gospodarstwa domowego i podwórzowego. Warunki bardzo skromne, wzamian za co ofiaruję pracę sumienną, obowiązkową, szczerą dokładną i zaufaną. Świadectwa posiadam b. dobre jak również referencje.

Adres: Marja „S" Przemyśl 3.
ul. Prądzyńskiego 26 m. 3.

Kochani Państwo!

Nadmieniliście państwo w liście, że może wystaracie mi się jakiegoś miejsca i pytaliście mnie, co ja umiem i jakie warunki ja bym chciała. A więc piszę do was tę moją prośbę z całego serca, bądźcie państwo tak dobrzy, wystarajcie mi się czegoś.

Otóż skończyłam ja 7-mio kl. szk. pow. z wynikiem „bardzo dobrym". Że zdolna jestem, to przekonałam się po tem; że w szkole największe interesa, czy to sklepik szkolny, czy coś podobnego, wszystko prowadziłam ja. A całe grono nauczycielskie ze wszystkiem zwracało się do mnie. A teraz opuściłam szkołę z wielkim płaczem. Dalej kształcić się nie mogę, bo moi rodzice są bardzo biedni i ledwie mnie wyżywią i jako tako okryją. A więc ja bardzo prosiłabym państwo o wystaranie się dla mnie jakiegoś interesu, naprzykład do sklepu do pomocy komuś, a właścicielom mogłabym być jako córka, a po trochu wkładałabym się do tego i zczasem mogłabym sama sklep prowadzić. Mogłabym też pójść do jakiegoś państwa na towarzyszkę jakiejś niemałej dziewczynce. A w ostateczności, to mogłabym pójść gdzieś do jakiegoś dużego państwa, do trzy czy czteroletniego dziecka. A więc z całego serca proszę o wystaranie mi się czegoś. Bo w domu przy rodzicach ja być nie mogę, bo oni mi utrzymania dać nie mogą. A że ja mam dopiero lat 14 i jestem jeszcze bardzo młoda, a więc bardzo ciężko pracować nie mogę, a przez to nie mogę na siebie zarobić. Z całego serca zwracam się do Was, jak do swoich rodziców, bądźcie państwo tak dobrzy, zajmijcie się mną i wystarajcie się dla mnie czegoś.

Marja Jeżewska.

Szanowne Panie!

Widząc z jakim zaufaniem zwracają się Panie do siebie, idę za Ich przykładem i z całą szczerością proszę Je o pomoc. Jestem młoda, pełna energji, przedsiębiorcza. Mam lat 27. Z zawodu jestem biuralistką, znam wszelkie prace biurowe, książkowość, — jak to mówią, mam spryt do handlu, a jednak mimo wszystko nie mogę otrzymać stałej posady, mimo, że posiadam kilkuletnią praktykę. Szukam, staram się na wszystkie strony, coprawda pracuję dorywczo, od czasu do czasu, ale stałej pracy nie mogę otrzymać. A mam poważne obowiązki, gdyż mam na utrzymaniu matkę — wdowę. Może która z Szanownych Pań ma szerokie znajomości i mogłaby mi pomóc w uzyskaniu stałej posady, a może potrzebna jest wspólniczka do założenia jakiegoś składu. Tak bardzo chciałabym mieć własny skład, gdzieś w Kongresówce lub na Kresach, niestety, nie mogę o tem marzyć, gdyż nie mam na to żadnych funduszy. A może znalazłaby się osoba, dla której 2 tys. zł. nie gra zbyt dużej roli, i mogłaby mi pożyczyć na dłuższy czas na założenie jakiegoś warsztatu pracy. Umiem i chcę pracować — proszę Szanowne Panie gorąco o pomoc i propozycję do „Praktycznej Pani".

„Rena z Poznania".

Zwracam się do Szanownych Czytelniczek „Praktycznej Pani" z uprzejmem zawiadomieniem, że mogę u siebie zaofiarować miejsce dla osoby inteligentnej, któraby w charakterze gospodyni, pomocnicy pani domu, zajęła się kuchnią i małem gospodarstwem, do mej pomocy, mając ponadto dziewczynę stałą, chłopaka i dochodzącą kobietę do udoju.

Do obowiązków należałoby sprzątanie mieszkania, gotowanie, doglądanie gospodarstwa i ogrodu. Pensja zł. 15.

Gospodarstwo to znajduje się na leśnictwie, 3 km. od miasteczka, w pobliżu Lwowa.

Reflektuję na osobę poważnie biorącą swoje obowiązki i patrzącą trzeźwo na świat, inteligentną, ewentualnie sierotę, której zapewniam w zależności od jej inteligencji, odpowiednie traktowanie nawet, jak członka rodziny.

Odpowiedź proszę kierować: poczta Chodorów, skryt. poczt. Nr. 13. — Małopol. Wschodnia.

* * *

Potrzebna mi jest zdolna ogrodniczka z wyższem wykształceniem i dyplomem, któraby zechciała ze mną korespondować drogą przez redakcję, na tematy ogrodnicze w „Naszej skrzynce". Płaciłabym chętnie od wiersza, jak zadecyduje redakcja.

* * *

„Emeryt państwowy, samotny, poszukuje mieszkania (tylko jednego pokoju) z pełnym utrzymaniem. Najchętniej na Kresach, jednakże tylko na większej gospodarce, względnie leśniczówce. Łaskawe zgłoszenia z podaniem warunków zapłaty, proszę kierować: Felicja Wietrzykowska, Warszawa, Krak. Przedmieście 38 m. 9.

Z góry bardzo dziękuję za grzeczność.



Monogram haftowany do bielizny M. D.

* * *

Za pośrednictwem Szan. Redakcji, zwracam się z gorącą prośbą, do Szan. Pań, może która z nich wiedziałaby o jakiejkolwiek pracy biurowej dla młodej 20-letniej panienki. Córka bardzo zasłużonego człowieka, I-go chorążego ś. p. Kochanego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, obecnie na emeryturze z pensją 127 zł. na m-c.

Wykształcenie panienka ta posiada maturalne, biegle pisze na maszynie, 170 uderzeń na minutę. Jest to osoba bardzo miła, spokojna, systematyczna i bardzo łagodnego charakteru. Warunki przyjmie bardzo skromne, gdyż musi pomagać rodzicom i rodzeństwu, którzy z tej skromnej emerytury płacą komorne 30 zł. i muszą utrzymać się. Przytem zaznaczam, że rodzina składa się z czterech osób.

Kochane Panie Czytelniczki! zwracam się jeszcze raz z błagalną prośbą, pomóżcie tej młodej panience, tyle już razy dowiodłyście o swoich dobrych serduszkach, które wzruszyły się niedolą ludzką.

Mam nadzieję, że prośba moja nie pozostanie bez echa i z góry przesyłam serdeczne podziękowanie.

J. Jaworowska.

Piastów — ul. Dworcowa Nr. 14 m. 8,
koło Warszawy.

Szanowne Panie!

Może która z Was przysłałaby mi z pomocą, rekomendując osobę starszą, w wieku od 40—50, potrzebną mi za gospodynię. Jestem nauczycielką, pół dnia nieobecną w domu, mam gospodarstwo, wymagające stałej uwagi i pracy. Pensja 20—30 zł., zależnie od uzdolnienia i zajęcia. Wymagana umiejętność gotowania, prania, prasowania, znajomość gospodarstwa mlecznego, nierogacizny, drobiu. mieszkam w osiedlu wiejskiem, oddalonem o 7 km. od kościoła. Konieczne uczciwość i czystość. Może być dziewczyna do pomocy. Odpowiedź pod:

„Wieczny kłopot z gospodarstwem".

* * *

Dobre miejsce na wsi dla samodzielnej gospodyni: nieduży dom, dwie osoby, nieduże mieszkanie, narazie dwie izby, nieduży ogródek-warzywnik, nieduże podwórko, krowa i kurnik.

Reflektuję na osobę energiczną, w wieku od 25 lat, która przedewszystkiem umiałaby dobrze zaopatrzyć i poprowadzić kuchnię w każdym sezonie; wynagrodzenie — 25 zł.

Adres: poczta Grudusk, skrzynka Nr. 4, pow ciechanowski.

* * *

Poszukuję od zaraz pomocnicy domowej. Dla informacji podaję, że miejscem mojego zamieszkania jest Zegrze koło Warszawy. Zakres prac przewidywany:

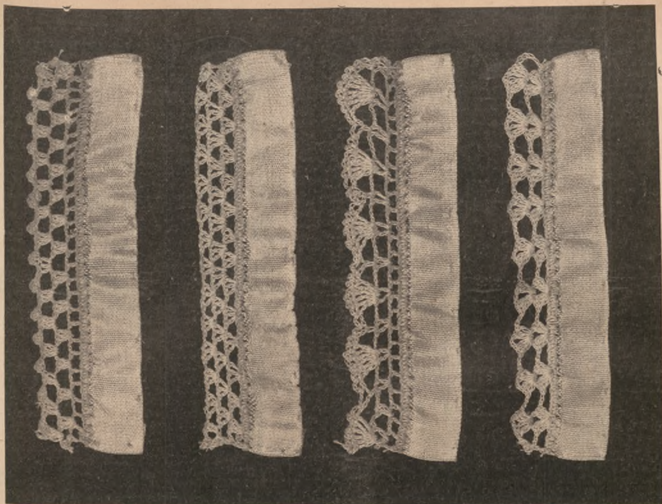
1) wszelkie roboty, wchodzące w zakres domowego gospodarstwa, a więc: gotowanie, sprzątanie, pranie.

2) zajęcie się półtorarocznym dzieckiem, t. zn. spacer, szycie i t. p.

Mieszkanie 3 pokojowe, rodzina w składzie 2 osób i dziecko.

Wynagrodzenie oprócz pokoju i utrzymania około 20 zł miesięcznie. Gdyby która z Szanownych Pań wiedziała o jakiejś bezwzględnie uczciwej dziewczynie, bardzo proszę o podanie adresu, wzgląd. powiadomienia petentki o powyższym zapotrzebowaniu.

Dziękuję za pośrednictwo.



ZĄBKI SZYDEŁKOWE DO BIELIZNY

Chusteczki obrabiamy półsłupkami rozdzielonemi jednem oczkiem wolnem.

Próbka 1. I-szy rząd: 1 słupek w drugie oczko łańcuszka, 2 oczka wolne... na zmianę.

II-gi rząd: 3 słupki, 2 oczka wolne, 3 słupki...

III-ci rząd: Nad oczkami wolnemi robimy 3 słupki, nad słupkami 2 oczka wolne.

IV-ty rząd: (pikotki) cztery oczka łańcuszka wkłuwamy jedno oczko i przerabiamy półsłupkiem.

Próbka 2. I-szy rząd: 3 słupki rozdzielone jednem oczkiem wolnem w czwarte oczko łańcuszka, 1 oczko wolne, 3 słupki rozdzielone oczkami wolnemi...

II-gi rząd: 3 słupki rozdzielone oczkami wolnemi wkłuwamy w oczko wolne poprzedniego rzędu.

III-ci rząd: robimy tak, jak drugi.

Próbka 3. I-szy rząd: Drabinka. 1 słupek, 2 oczka wolne...

II-gi rząd: 2 słupki podwójnie nawijane rozdzielone jednem oczkiem wolnem, 4 oczka wolne...

III-ci rząd: 4 oczka wolne, 6 słupków podwójnie nawijanych, wkłuwamy między 2 słupki poprzedniego rzędu, 4 oczka wolne. 1 półsłupek między 2 słupki poprzedniego rzędu... na zmianę.

IV-ty rząd: 4 oczka wolne — w drugie oczko łańcuszka poprzedniego rzędu.

Próbka 4. I-szy rząd: 3 słupki w trzecie oczko łańcuszka, 2 oczka wolne, 3 słupki w to samo oczko łańcuszka, 2 oczka wolne...

II-gi rząd: W środek wachlarzyków I-go rzędu wkłuwamy szydełko i robimy 3 słupki, 2 oczka wolne, 3 słupki, 2 oczka wolne...

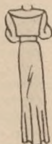
O ile chcemy ząbki zastosować do narożników, na rogach robimy wszędzie, gdzie jest mowa o 3 słupkach 5 słupków i taką ilość oczek w powietrzu, aby się na rogu nie ściągało.

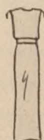
CENY OGŁOSZEŃ: za miejsce wysokości 1 milim. przez szerokość 1 łamu — *w tekście* — 70 gr., za *tekstem* 50 gr., *drobne* — 20 gr. za wyraz, dla poszukujących pracy — 10 gr. za wyraz. Kolumna dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu — 63 milim., wysokość 270 milim.

UWAGI: Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia.— Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane, o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia. — Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczenia całego ogłoszenia względnie jego części bez podania powodów.









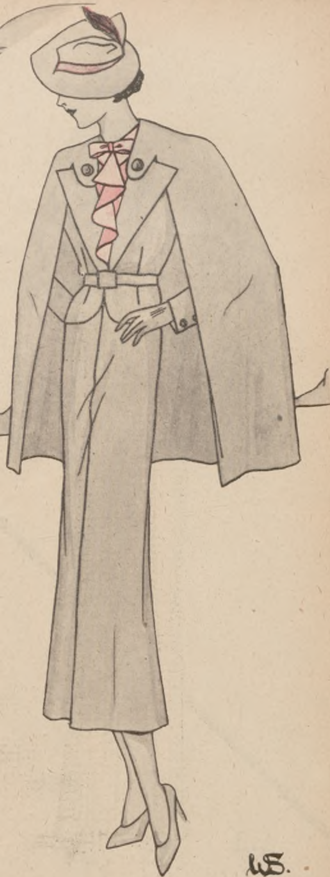
741 P.P. Suknia z wełnianego woalu w deseń.

742 P. P. Spacerowa suknia z marocainu.

Uprzejmie prosimy Panie Prenumeratorki, by wpłacały należność za wykroje bądź przekazem pocztowym, bądź na P. K. O. lub znaczkami. Za zaliczeniem nie wysyłamy nie chcąc odbiorcy obarczać kosztami przesyłki.



743 P. P. Suknia z miękiego, matowego jedwabiu, ozdobiona guzikami, powleczonemi czarnym aksamitem. Pasek czarny zamszowy.



744 P.P. Kostjum z gładkiego sukienka.

SUKIENKI DOMOWE



745 P.P. Suknia z wełny w kratę, kołnierz związany wełnianym sznurem.

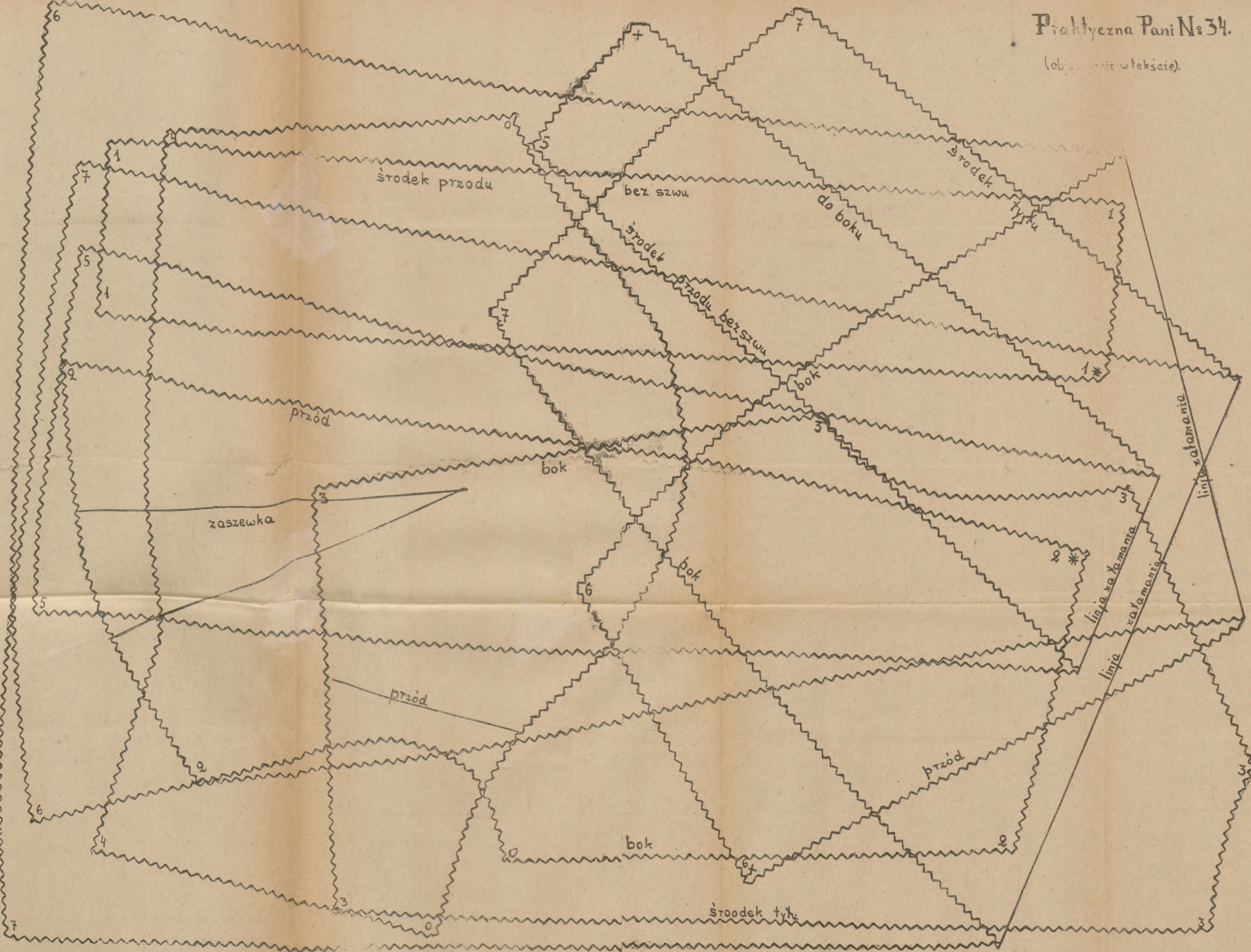
746 P.P. Wygodna suknia, cała zapinana z boku.

747 P.P. Sukienka z woalu w deseń, kołnierzyk z organdyny, kokarda z tafty.

Redaktorka ANTONINA DEMBIŃSKA. Wydawca: Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz", Warszawa.
Druk i Klisze w Zakł. Graficznych Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.

Praktyczna Pani №34.

(objaśnienie w tekście).



Nakrycie do śniadania z płótna koloru zielonego

haft lśniącą bawełną, ściegi jak na rysun...



Serwetka do ust
20 x 20 cm.



Serwetka pod nakrycie





Kolory
szlaki zielone
ciemniejsze
listki i gałązki
bronzowe jasne
Kwiaty
A: 1 biały
2 czerwony
3 żółty
4 biały
5 różowy
B. 1 niebieski jasny
2 granatowy
3 różowy
C białe



Grzejnik na czajnik złożony z dwuch części, zeszytych wg: linji przerywanej _. wewnątrz podbity białą flanelą zew naszyty sznurem, z którego na środku układamy pętle do trzymania.